ORION I CHRYZANTEMA.

Tegoż autora wyszły:

	Rs.	kop.
Jarema, powieść. Wydanie nowe	—	75
Marcyan Kordysz, powieść. Wydanie nowe	1	—
Na kresach, powieść z naszych czasów. 3 tomy. Wydanie nowe	2	—
Nemezys, z notatek c. k. radcy. Wydanie nowe . .	1	—
Porwanie Sabina, powieść. Wydanie nowe	—	75
Sumienny konkurent, studyum karnawałowe	—	90
Święty Jur, powieść współczesna. 3 tomy. Wydanie nowe	2	—
Widoki familijne, powieść	1	—
Wiktorya Regina, ze wspomnień narzeczonej, powieść. Wydanie nowe	1	—
Zakryte karty, powieść współczesna. 3 tomy. Lwów.	3	—

Jan Zacharyasiewicz

ORION I CHRYZANTEMA

czyli

ROMANS W XX WIEKU

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1895

OD AUTORA.

Powieść niniejsza, powstała z wrażeń i obserwacyi w atmosferze Paryża, drukowana była w odcinku K. W. pod tytułem: *„Przy końcu wieku“*.

Kraków 1 Stycznia 1895 r.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie BIBLIOTEKA GŁÓWNA

106381

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

I.

Zatrzymała się wśród tańca, podniosła posuwisty ogon sukni i szybko pobiegła do garderoby. Tam, na aksamitnym taburecie oparła biały pantofelek i zaczęła powoli odpruwać rozdartą w tańcu podszewkę ogona.

Nie spostrzegła, że tuż przy niej klęczy młody mężczyzna i z wprawą zręcznej subretki pomaga jej w improwizowanej robocie.

Spojrzała na niego z uśmiechem, a przy tem spojrzeniu zapomniała opuścić rąbek sukni, który niedyskretnie odsłaniał białą, ażurową pończoszkę.

— Co pan robisz? — zapytała zdziwiona.

— Drobna przysługa, nic więcej — odpowiedział nieznajomy, odpruwając dalej oporną podszewkę.

— Ależ bo pan zanadto energicznie...

— Taka już moja natura.

Młody mężczyzna podniósł teraz głowę do góry. Miał czarne wąsy do góry zakręcone, oczy duże i brwi krzaczaste. Ona odsłoniła mu białe ząbki, drobne jak perły, i uraczyła go uśmiechem tak rozkosznym i tak przezroczystym, jak ta pończoszka ażurowa na zgrabnie utoczonej nóżce.

— Tak pan dziwnie klęczysz przede mną— zaszczebiotała — gdyby kto na nas patrzył w tej chwili, myślałby, że się pan oświadczasz!...

— Właśnie myślałem o tem...

— Cóż pana taką myślą natchnęło?

— Ten atłasowy pantofelek i ta pończoszka ażurowa, która niezawodnie pochodzi od firmy brukselskiej.

— Mówisz pan jak znawca.

— Jestem pomocnikiem w magazynie towarów wysortowanych.

— Czy interes dobrze idzie?

— Zarabiamy czterdzieści procent.

— Czy to prawda?

— Mogę okazać księgi kasowe. Czy mogę się zapytać, z kim obecnie tak mile się zabawiam?

— Nazywam się Chryzantema i jestem pomocnicą u mojej starszej siostry, która ma sklep żałobny. Jest to filia zakładu pogrzebowego naszego stryja.

— Wybornie! Ależ to Opatrzność sprowadza nas razem.

— Tak mówiono przed stu laty!

— Przepraszam, pokrewieństwo naszych interesów wywarło taką atrakcyę.

— Jak się pan nazywasz?

— Moje imię — Orion.

Orion i Chryzantema spojrzeli na siebie. Imiona ich odpowiadały ówczesnym zwyczajom, które pozwalały każdemu osobnikowi wybierać sobie imię, jakie mu się podoba. Uznano bowiem za słuszne w owym czasie odstąpić od imion świętych pańskich, z uszanowania dla tychże. Nie chciano, aby ludzie podlegający różnym złym skłonnościom ubliżali ich pamięci. Każdy więc, stosownie do swego usposobienia,

przybierał imię, które potem urzędy matrykularne zapisywały. Mężczyźni z wyższą ambicyą przywłaszczali sobie nazwiska gwiazd, gór i drzew wysokich — kobiety poprzestawały na botanice.

Z tego wypływa, że pomocnik w handlu towarów wysortowanych miał zamiary wysoko sięgające, jeżeli się nazwał Orionem, gdy dama z rozdartą suknią balową zadowoliła się białym kwiatem, symbolem długotrwałej niewinności.

— Wstań pan, panie Orionie — rzekła — bo w takiej pozycyi niewygodnie panu.

— Mógłbym tak klęczeć do skończenia świata — odpowiedział Orion.

— Tak mówiono przed stu laty! Wstydź się pan!

— Przepraszam, ale to dziedziczność po moim dziadku, który miał być kiedyś poetą! Taki atawizm czasem mnie napada.

— Wróćmy do interesu. Czy pan chcesz mi się oświadczyć?

— Jest to mojem niezmiennem postanowieniem.

— Rzecz układa się dobrze, może z tego coś być.

— Interesy nasze schodzą się razem. Wysortowane towary naszego handlu — osobliwie takie, które w swoim czasie były ekscentrycznie modne, farbujemy zwykle na czarno. W sam raz dobre dla nieboszczyków!

— Nieboszczyki, to kundmani wyrozumiali. Przyjmą, co im się da. Trudniejszą sprawę mam z wdowami. Trudno im dogodzić, bo każda chce, aby jej żałoba była do twarzy.

— Zaprawdę, nasz handel wygodniejszy, ale możemy wzajemnie się wspierać.

Podali sobie ręce i romans przedślubny był skończony.

Do ksiąg matrykularnych zapisano nowe małżeństwo.

II.

Chryzantema i Orion byli szczęśliwi. On większą część dnia przepędzał w magazynie swego pryncypała, ona ubierała z wdziękiem młode, niepocieszone wdowy. Orion dla nieboszczyków dostarczał taniego materyału, ona pobierała za to od pozostałych dosyć drogie pieniądze.

Czasem tylko miewali sny niespokojne. Orionowi przyśnił się od czasu do czasu nieboszczyk w podartej na plecach odzieży i wyrzucał mu, że w tak lichą materyę go ubrał. Groził, że w tej rozdartej odzieży stanie na sądzie ostatecznym ze skargą, że go oszukał.

Chryzantemie zaś przyśniła się niejedna wdowa z wyrzutami, że jej żałobna suknia nie sprawiła u wód takiego efektu, jakiego się spodziewała.

Mimo te drobne chmurki, życie młodego małżeństwa było dosyć przyjemne. On umiał swemu pryncypałowi podwójną buhalteryę tak prowadzić, że pryncypałowi i jemu coś się okroiło. Ona zaś dowodziła siostrze, że sklep żałobny podupada, popierając to rachunkami.

I zaledwie rok upłynął, przekonał się pryncypał Oriona, że dalej interesów prowadzić nie może, i odstąpił go swemu pomocnikowi.

To samo uczyniła siostra Chryzantemy. Oboje zostali teraz właścicielami dwóch magazynów, a szczęście sprzyjało im lepiej, niżeli ich poprzednikom.

Chryzantema i Orion prowadzili teraz życie przyjemne. W chwilach wolnych chodzili do teatru; w niedziele i święta na obiadki do restauracyi, a gdy dnie gorące nadeszły, orzeźwiali się chłodnikami na koncertach ogrodowych.

Jedna tylko chmurka wysunęła się raz na niebo małżeńskie. Chryzantema oświadczyła Orionowi, że dla konkurencyi żałobnego sklepu

z naprzeciwka, zamiast zwykłej panny sklepowej, trzeba przyjąć subjekta.

Orion zrazu uznał konieczność takiej zmiany i zaproponował swego pomocnika z magazynu towarów wysortowanych, który ze starości nie mógł już dobrze odróżniać barw jasnych. Przy czarnych materyałach nie przeszkadzała ta słabość oczu.

Nie zgodziła się na to Chryzantema i to ze względów konkurencyjnych. W żałobnym magazynie z naprzeciwka byli sami młodzi subjekci, a to właśnie, według jej zdania, ściągało mu liczną klientelę. Młodym wdowom i sierotom jakoś lepiej dobierali młodzi pomocnicy, gdy tymczasem stary subjekt lub mrukliwa pomocnica odstręczali kundmanów.

Długo trwał spór między małżeństwem, wreszcie przemogła Chryzantema. Postanowiono odprawić pannę sklepową, a na jej miejsce przyjąć młodego i, jak Chryzantema z naciskiem dodawała, przystojnego subjekta. Chryzantema wzięła to już na siebie.

W owym czasie nie było to tak trudnem.

Kobiety wywalczyły już wtedy wiele praw swego równouprawnienia, zajmowały wysokie urzędy, były lekarzami, sędziami i głosowały według wierzeń swoich na członków zarządu gmin lub krajowych.

Do ostatnich zdobyczy, oprócz prawa do urzędów, nauk i pracy, należało także uchwalone prawo — zabawy. Gmina była obowiązana wyprawić co tydzień bal publiczny, na którym zabawiano się bezpłatnie.

Na jednym z takich balów znalazła Chryzantema swojego Oriona; na takim balu postanowiła szukać subjekta do żałobnego sklepu. Ponieważ sposób, w jaki Oriona znalazła, okazał się praktycznym, postanowiła użyć tego samego sposobu w wyszukaniu pomocnika.

W tańcu wydarzało się często, że ktoś suknię przydeptał i coś uszkodził. Potrzeba było pospieszyć do garderoby i uszkodzenie naprawić. Najczęściej sam sprawca tego uszkodzenia spieszył za nią i dopomagał wyrządzone złe naprawić.

Nie zawsze jednak taki sprawca kwalifiko-

wał się na subjekta żałobnego sklepu, nie zawsze umiał przejąć się rolą, którą tak zręcznie odegrał był swojego czasu Orion.

Po wielu próbach udało się wreszcie Chryzantemie znaleźć to, czego szukała.

Orion, przyszedłszy raz do magazynu żałobnego, ujrzał za ladą młodzieńca, którego Chryzantema przedstawiła jako nowozaciężnego pomocnika.

Mąż Chryzantemy spojrzał na niego z uwagą. Był słusznego wzrostu, twarz miał niewielką, lecz pulchną jak pączek zapustny. Różowa, gładka powierzchnia tej twarzy nie miała żadnych cech charakterystycznych, prócz starannie na skroniach przylepionej grzywki, wyglądającej jak dwa plasterki angielskie. Za to pod brodą, ciemnym meszkiem ocienioną, wznosił się biały kołnierzyk na ćwierć łokcia wysoki, spięty na trzy złote guziki. Głęboko wykrojona kamizelka odsłaniała spory szmat haftowanej, batystowej koszuli, przeciętej w środku wązkim paskiem niebieskiego krawata. Ze słodkim uśmiechem, jakby mówił do damy swego

serca, opowiedział nowy pomocnik swoje dotychczasowe losy, a Orion podał mu rękę na znak, że aprobuje wybór Chryzantemy.

Chryzantema miała słuszność. Żałobny magazyn ożywił się teraz. Młody przystojny subjekt umiał niepocieszonym wdowom zalecać podany towar tak wymownie, że żadna nie opuszczała sklepu nie zamówiwszy przynajmniej kilku sukien. Nawet kundmanki magazynu z naprzeciwka przeniosły się po kolei do sklepu Chryzantemy, a sam Orion przyznał, że pomysłowa żona jego zrobiła dobry wybór.

Nastąpiła dłuższa pauza pewnego zadowolenia obojga. Interes żałobnego magazynu szedł wybornie. Rachunek tygodniowy wykazywał znaczną zwyżkę. Nowy pomocnik, który nazywał się Pilades, był mistrzem nietylko w rozwijaniu towarów, ale umiał także tyle pięknych rzeczy prawić zasmuconym bolesną stratą kundmankom, że nabierały lepszego humoru i z wyrazem widocznej pociechy wychodziły ze sklepu.

Orion, jak mógł, wynagradzał nieocenionego pomocnika. Przy wspólnym obiedzie nalewał

mu pełne kieliszki wina i dawał mu dobre cygara. Chryzantema nakładała mu na talerze najlepsze kąski i kazała często robić leguminy, które Pilades z rozkoszą połykał, chociaż mężowi niebardzo smakowały. Nawet na koncerty i do teatru brano zacnego Piladesa, dla reklamy, jak utrzymywała Chryzantema, aby go tym damom okazać, które jeszcze w magazynie nie bywały.

Interes szedł dobrze, pieniądze wpływały do kasy i zdawało się, że już teraz do szczęścia nic im więcej nie trzeba. I dosyć długo trwało to szczęście i byłoby trwało może aż do śmierci, gdyby nie ów fatalny atawizm, który zaczął się odzywać w duszy Oriona, jako potomka poety.

III.

Orion zaczął miewać jakieś sny nieprzyjemne. Śniło mu się, że nieboszczyki przychodzą do niego z wyrzutami, że ich licho na drogę wieczności ubiera.

Jeden z nich pokazał mu kamizelkę, która nie miała dziurek obszytych, drugi skarżył się, że w godzinę po śmierci popękał mu czarny surdut sklejony z materyi przegniłej, a trzeci ze zgrozą okazał mu czarne ufarbowane pantalony, z których farba puściła, a natomiast wyszły na wierzch czerwone tulipany owijane girlandą z zielonych liści.

Orion opowiedział to żonie przy śniadaniu, a Chryzantema i Pilades śmiali się do rozpuku z takich kostyumów, w jakich okażą się nieboszczyki na sądzie ostatecznym. Orion śmiał

się także, ale mimo śmiechu czuł, że mu kawa jakoś nie smakuje. Powróciwszy do swojego magazynu, nakazał farbiarzowi, aby farby nie żałował, gdy modne jaskrawe materye farbuje na czarno.

Mimo to sny powtarzały się. Umarli nawiedzali go często i psuli mu śniadanie. Nawet na jawie, osobliwie gdy był razem z Chryzantemą i Piladesem, miewał jakieś dziwne przywidzenia. Zdawało mu się, że ludzie dziwnie patrzą na niego, że się uśmiechają z ironią a nawet szepcą o nim do siebie. W teatrze, gdy duchy z pod ziemi wychodziły w szmatach różnorakich, zdawało mu się, że to jego kundmani, których on tak źle poubierał.

Razu jednego śniło mu się, że przyszła do niego młoda niepocieszona wdowa. Wyrzucała mu, że przez jego żonę jest nieszczęśliwa, i błagała go, aby temu nieszczęściu zaradził.

— To być nie może — rzekł do niej Orion — Chryzantema to anioł wcielony, ona nikomu krzywdy nie wyrządza!

— A jednak uczyniła mnie nieszczęśliwą — odrzekła wdowa, zalewając się rzewnemi łzami.

— Czy suknia nie sprawiła upragnionego wrażenia?...

— Przeciwnie, podobała się wszystkim, a nawet pytano się, kto jest ta wdowa z tak wdzięczną figurą?

— I czegóż chcesz pani? czy farba czarna puściła, a z pod niej wyszły wcale nie żałobne róże i goździki?

— I to nie, moje nieszczęście sięga głębiej!

— W takim razie ja nic nie poradzę i nie wiem, co tu moja żona poradzić może?

— Żona pana może oddać to, co nielitościwie mi wydziera.

— A cóż ona pani wydarła?

— Piladesa!

— Piladesa?... Czyś pani oszalała?

— Tak jest, ale szał dla kobiety jest świętym. To jej szczęście, to jej własność. Szczęścia przecież nie można nikomu wydzierać!

— Jakiego szczęścia? Co Pilades i moja żona mają do tego?

— Posłuchaj pan. Gdym po stracie mojego najdroższego męża niepocieszona przyszła do magazynu, aby w żałobne szaty się ubrać, umiał pan Pilades z takiem współczuciem do mnie przemówić... a gdy czarny tybet rozwijał, zdawało mi się, że łza z jego oka padła na ladę!... A gdy potem, aby wziąć miarę, do mnie się zbliżył, czułam wyraźnie, że do mojego sierocego serca zbliża się nowy przyjaciel! Później, przy próbie, doznałam tego samego uczucia i od tego czasu nie opuszczało mię to uczucie aż do chwili...

— Do jakiej chwili?

— Do chwili, w której przekonałam się, że żona pana wydziera mi nowego przyjaciela...

— Co pani bredzisz!

— Mówię jak na spowiedzi. Po ostatniej próbie sukni rozmawialiśmy wiele z panem Piladesem i stanęło na tem, że po odbytej żałobie miał on zostać moim mężem. Do tego czasu mieliśmy widywać się co kilka dni, a pisywać do siebie codziennie. Byliśmy bardzo szczęśliwi: on mię kochał, jak twierdził, pierwszą

swoją miłością, a mnie się zdawało, że i ja kocham po raz pierwszy. Przy nim zbladła cała przeszłość moja, jak źle dobrana farba, z pod której wyłania się rozmaite kwiecie jako marzenie najpierwszej młodości!... Otóż wśród tych jasnych dni szczęścia i rozkoszy padł z nieba jasny piorun!...

— Jaki piorun?

— Pan Pilades nadesłał mi pewnego dnia list, który nie był do mnie pisany. Przez pomyłkę włożył w tę kopertę z adresem do mnie list, pisany do innej kochanki! Z listu dowiedziałam się, że kocha inną już dawno... a ta wykryta tajemnica może mię zabić!

— A któż jest ta inna?

— Chryzantema!

— To być nie może...

— Czytaj pan!

I podała mu list podłużny, woniejący fijołkami.

Orion kurczowo wyciągnął rękę, aby ten fatalny dokument nieszczęścia swojego pochwycić, ale skurczone palce chwyciły tylko powie-

trze. Postać wdowy bladła jak chmurka na nocnem niebie... tylko biały podłużny list majaczył jak plama świetlana na tle nocy...

Zbudził się, a jeszcze zdawało mu się, że widzi przed sobą białą kopertę listu, że słyszy szelest żałobnego kaszmiru, który z drugiego pokoju zalatywał, że słyszy otwieranie drzwi i kroki odchodzącej wdowy...

Strach ogarnął go, zerwał się z łóżka.

— Kto tam? — zawołał dziwnym głosem.

— To ja — odpowiedział głos kobiecy, ale nie wdowy, tylko Chryzantemy.

— Gdzie byłaś?

— W drugim pokoju — odrzekła Chryzantema zamykałam lufcik, który wiatr otworzył.

— Chwała Bogu! to był sen tylko.

— Jaki sen?

— Nie pytaj, ot, głupi sen.

— To prawda, czasem plecie się ni w pięć ni w dziewięć.

— Tak samo i ta wdowa plotła banialuki.

— Jaka wdowa?

— Albo ja ją znam! nigdy jej w życiu nie widziałem! i mówić o tem nie warto.

Orion położył się i wkrótce zasnął. Tylko Chryzantema jakoś długo zasnąć nie mogła. A gdy rano wstała, była blada i zmęczona.

Gdy Orion przyszedł na śniadanie, ujrzał na stole tylko dwa nakrycia. Zrazu myślał, że żona jest cierpiąca i że tylko z panem Piladesem będzie spożywał dary Boże; inaczej się jednak stało. Chryzantema weszła do pokoju. Miała szarą bluzkę czerwonym jedwabiem ubraną, przy czem jej twarz wydała się jeszcze bledszą. W oczach malował się niepokój. Po krótkiem przywitaniu zajęła się nalewaniem kawy.

Orion patrzył na nią z uwagą czas niejaki, a potem zajął się pilnie swojem śniadaniem. Zdawało się, że się obawia rozmowy z żoną, któraby o jego snach nocnych czegoś dowiedzieć się chciała. Być może, że i żona obawiała się pewnych pytań ze strony męża, na które nie miała ochoty odpowiadać. Oboje więc w milczeniu pili kawę.

Gdy Orion upewnił się, że Chryzantema o śnie z wdową mówić nie chce, zwrócił uwagę w inną stronę. Uderzyło go, że niema pana Piladesa.

— Czy pan Pilades nie przyjdzie na śniadanie? — zapytał, nie podnosząc oczu.

— Prosił, aby mu kawę przysłać do pokoju — odpowiedziała Chryzantema, patrząc na dno filiżanki.

— Czy jest chory?

— Ma jakieś zajęcie.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Od czasu do czasu patrzyli na siebie ukradkiem, jakby się czegoś obawiali. Wreszcie zaczął Orion:

— Jakie to dziwne czasem są sny ludzkie!

Kurczowy ruch przebiegł po twarzy Chryzantemy.

— Sny i przywidzenia są często niedorzeczne.

— A co nazywasz przywidzeniem?

— Jeżeli na jawie coś widzimy lub słyszymy, co z rzeczywistością żadnego związku niema.

Orion spojrzał z uwagą na Chryzantemę. Zdawało mu się, że się gotuje do walki, albo przynajmniej do zaciętego odporu. Walki się obawiał, więc, spuściwszy oczy do filiżanki, odrzekł:

— Tylko waryatom i ludziom, będącym w gorączce, coś się przywiduje, czego inni nie widzą.

— Właśnie o to chodzi, aby nie mieć nigdy gorączki i nie być waryatem.

— Nie wiem do kogo te słowa stosujesz.

— Do tego, który, aby czegoś nie powiedzieć, wymyśla sobie sny o wdowach.

Orion, który o swojej wdowie nic mówić nie chciał, uspokoił żonę, że o tem już nie pamięta, co w nocy powiedział, a jeżeli powiedział, to nie miał w tem żadnej myśli ubocznej.

Podobała się ta odpowiedź Chryzantemie, bo stała się weselszą, a nawet męża po ręce uderzyła, co było oznaką jej najwyższej pieszczoty. A widząc, że chmurka, grożąca burzą, szczęśliwie przeminęła, zadzwoniła na służącą.

— Jeżeli pan Pilades kawy jeszcze nie wypił, to przynieś tutaj, niech z nami pije.

Służąca odeszła. Po chwili wszedł pan Pilades z twarzą zarumienioną, jak jutrzenka, co było oznaką, że jest już po śniadaniu. W ręku trzymał spory plik papierów, które ze słodkim uśmiechem podał pryncypałowi. Chryzantemę uraczył lekkiem skinieniem głowy.

Papiery zawierały rachunek tygodniowy. Był on tak świetny, że Orion aż pokraśniał na twarzy. Z rozkoszą przebiegał znaczne cyfry i tak się niemi zachwycił, że o śnie swoim z wdową do szczętu zapomniał. Gorąco uścisnął rękę pomocnika i dał mu jedno z najlepszych cygar swoich, które tylko zwykł w świetnych chwilach swojego życia wypalać. Za to, oprócz słodkiego uśmiechu pana Piladesa, otrzymał od żony aż trzy klapsy po ręce, co oznaczać miało wysoki nastrój jej duszy.

Po śniadaniu wyszedł zadowolony do swego magazynu.

Zysk, pieniądze — uczono wtedy — to główny nerw życia! Powinny one być wszyst-

kiem i za wszystko wystarczyć. Tak też i bywa. Nie wszyscy jednak są wybrani; są upośledzeni, którym to upośledzenie dostaje się przez dziedzictwo.

Dziadek Oriona był kiedyś poetą, a chociaż od tego czasu dwa pokolenia wychowano w kierunku praktycznym, odzywały się czasem we wnuku jakieś dziwne porywy minionych dawno wyobrażeń. Zdawało mu się czasem, że, oprócz zysków i pieniędzy, potrzeba do życia czegoś innego jeszcze, czego ani pochwycić ręką, ani słowem nazwać nie można. Odzywały się w nim jakieś dawno wyblakłe ideały, o których przedwiekowi śpiewali trubadurowie. O szczęściu miał czasem wyobrażenie, że nie jest to tylko magazyn, który świetnie idzie, i nie jest to, co za uzyskane pieniądze mieć można.

Taki atawizm odzywał się czasem w duszy Oriona, a chociaż to się rzadko wydarzało, mąciło mu jednak jego szczęście. Osobliwie gniewała go możliwa konkurencya co do jego szczęścia domowego, w tej samej mierze, jak

gniewała go konkurencya żałobnego magazynu z naprzeciwka i nowo założona fabryka farbowania materyi na czarno.

Tak samo, jak sklep żałobny „Pod kotwicą“ należał zupełnie do niego, tak samo uważał Chryzantemę za własność swoją, bez żadnej skądinąd konkurencyi.

Nieszczęsna owa wdowa, która mu się we śnie objawiła, poruszyła w jego duszy myśl bardzo niemiłą a jednak możliwą. Tak samo bowiem, jak pomocnik w magazynie kradnie czasem pieniądze swego pryncypała, może także okradać go w sferze jego praw małżeńskich.

Takie myśli nachodziły go teraz po zjawieniu się owej sennej wdowy, o której zapomnieć nie mógł. Stawała mu ona przed oczy z tym listem podłużnym, którego treści nie znał, a jednak poznać tak był ciekawy! Czyżby to mogło być, aby Chryzantema razem z pomocnikiem okradała go z praw jego? Czyż od takiej kradzieży daleko do okradania samego magazynu i jego kasy?

Gdy to razem zestawiał, wpadał w gniew,

a nawet zdawało mu się, że byłby zdolny ukarać przestępców śmiercią niezwłoczną.

Wtedy z uwagą, jak sędzia śledczy, rozpatrywał się w domu swoim, a gdy nic nie spostrzegł, gniewał się na siebie za nieugruntowane przywidzenia swoje. Pomocnikowi dawał w nagrodę najlepsze cygara, a przed żoną kładł z rozkoszą szeroką rękę, po której wolno jej było uderzyć i dziesięć razy.

Tak kończyły się jego urojenia złowrogie i niepotrzebne pragnienia duszy za czemś wyższem a niepochwytnem, o czem dziad jego w swoich wierszach szeroko prawił! Chryzantema była modelem żony i gospodyni oszczędnej. Ład i porządek panował w domu, w magazynie i w kasie, obiady przychodziły o swoim czasie na stół — a były dobre i smaczne, w teatrze lub na koncercie było przyjemnie... czegóż można więcej wymagać w życiu?

Taka oscylacya panowała teraz w duszy Oriona. Był to przypływ i odpływ morza, które raz pokrywa piaski szmaragdowemi falami, to znowu odsłania leżące na nich potwo-

ry, na pół zjedzone kraby i inne zdechłe skorupiaki.

Wyrobiła się w nim jakaś dwoista natura. Dwóch ludzi tam mieszkało. Jeden z nich czuł się szczęśliwy powodzeniem magazynu i widokiem pieniędzy — drugi lękał się ustawicznie mniemanej konkurencyi w jego szczęściu domowem. A wtedy z obawą patrzył w czarujące oczy Chryzantemy i szukał w nich na dnie greckiego bohatera. Ale tam nic nie ujrzał. Były one przysłonięte jakąś mgłą, przez którą, tak jak w nocy lipcowej, nie można było dojrzeć ani księżyca, ani gwiazd, ani nawet konstelacyi Oriona!...

Mimo to niedobre przywidzenia nachodziły go coraz częściej. Patrzył coraz częściej to na żonę, to na Piladesa, a patrzenie to zatruwało mu życie. Wdowa nie przychodziła do niego we śnie, a on nie mógł przeczytać, co w owym liście podłużnym było! Dręczył się odgadywaniem, ale odgadnąć nie mógł. Zmysł zachowawczy nie kazał mu wierzyć w swoje nieszczęście, ale szczęśliwym już się nie czuł.

Chciał tę obawę przed nieszczęściem rozproszyć zdwojoną pracą, a że zdwojona praca mnożyła mu zyski, więc zapałał do tych zysków gorączką posiadania coraz więcej złota.

Piętrzące się coraz więcej złoto spychało wprawdzie na dalszy plan sprawy domowe, ale nie mogło zupełnie wyleczyć go z obaw o te sprawy, jakie go czasem nawiedzały. Znalazł wprawdzie chwilowy środek na odurzenie się, lecz wyleczyć się nie mógł.

I stało się pewnego dnia, czego się obawiał.

Przeglądając książki magazynu, znalazł między kartkami list w podłużnej kopercie, taki sam, jaki mu we śnie pokazywała owa wdowa. Miał nawet tę samą woń fijołków, jak tamten, o dyskrecyi nie mogło być mowy!...

Orion wydarł list z koperty i zaczął czytać.

Oczy wylazły mu na wierzch, cały był czerwony na twarzy.

W miarę, jak czytał, czerwieniał coraz więcej.

Wreszcie posiniał, jakby był blizki apopleksyi.

Wypuścił list z ręki i wziął się za głowę.

— Więc to prawda! — zawołał ochrypłym głosem.

Siedział kilka chwil nieruchomy... poczem, schowawszy list w zanadrze, wybiegł na schody, prowadzące do pokoju żony.

Na dziesiątym schodzie spotkał złoczyńcę. Pan Pilades był dzisiaj zachwycający. Majowej zieleni chustka wydobywała się kosztownym węzłem na szeroką klapę błękitnego tużurka. Bajecznie lekki kapelusz pochylał się z wdziękiem nad prawem uchem. Podobne do asa kierowego usta złożył był właśnie do słodkiego uśmiechu, aby nim pryncypała powitać, gdy nagle koścista ręka schwyciła go za gardło.

— Łotrze! — wrzasnął Orion głosem piorunującym — okradasz mię bezczelnie! Wynoś się z mego domu!

Po tych słowach zachwiała się postać sklepowego Apollina i pochyliła się ku niższym schodom. Naprzód frunął na dół kapelusz „*incroyable*“, za nim poszła głowa starannie ufryzowana, a za chwilę widać było na ostatnim

schodzie tylko szerokie angielskie podeszwy lakierowanych kamaszków.

Na ten krzyk i łoskot spadającego na dół człowieka wyszła Chryzantema w negliżu eleganckim.

— Cóż to jest? — zapytała.

Orion wskazał na podeszwy Piladesa, które w tej chwili były bez ruchu.

— Cóżeś zrobił? — pytała dalej Chryzantema, poprawiając fałdy koronkowej bluzki.

— Odprawiłem Piladesa — odrzekł Orion.

— Dlaczegóż w taki sposób?

— Bo mnie okradał!

— Okradał?... nie rozumiem.

— Chodź, to ci powiem.

Weszli do pokoju. Orion wydobył list z zanadrza i spazmatycznym ruchem ręki przyłożył go do oczu żony.

— Patrz, obłudna! — krzyknął — oto dokument twojej zdrady a jego zbrodni!

Chryzantema spokojnie spojrzała na męża. Łagodny uśmiech okrasił jej twarz bladą.

— Za wiele hałasu, mój drogi, na żart taki,

którego nie pojmuję — odpowiedziała słodkim głosem.

— Żart! żart! — krzyczał Orion — to u ciebie żartem jest, jeżeli mąż blizki jest apopleksyi, doznawszy takiego zawodu w swojem szczęściu domowem... jeżeli ukochana żona jego zdradza go haniebnie i wystawia go na pośmiewisko ludzi?...

— Nie mogę cię jeszcze zrozumieć, mój Orionie, mów bez deklamacyi.

— Ten list, nikczemna!

— Czyjże to list?

— Twój list, twój... twoje te przeklęte zygzaki i słowa bez należytej ortografii.

— Żartujesz!

— Jeszcze żartuję?... i ty w takiej chwili, gdy moje zdrowie... moje życie waży się na szali... gdy krew zalewa mi mózg, a w oczach się mroczy... Ty śmiesz mówić, że ja żartuję?

— Cóż ten list zawiera?

— Twoją zdradę, nikczemną zdradę z wszelkimi szczegółami!

Chryzantema uśmiechnęła się spokojnie. Zbli-

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach BIBLIOTEKA GŁÓWNA

żyła się do gotowalni, na której stało weneckie zwierciadło. Poprawiwszy włosów, zwróciła się do męża i rzekła:

— Jak widzę, chcesz dłużej żart swój prowadzić, pozwolisz więc, że usiądę.

Usiadła na szeslongu, kołysząc się rozkosznie na sprężynach.

Orion patrzył na nią zdziwiony. Była w tej chwili jeszcze piękniejszą. Z dziecięcą prawie swobodą przesuwała różowe paluszki po arabeskach dywanu, którym stół był nakryty.

— Kobieto! — krzyknął Orion — i ty w takiej chwili możesz być jeszcze tak czarującą... możesz z takim wdziękiem grać rolę niewinnej?

— Bo jestem niewinną, a bawi mię, że ty tak wybornie grasz rolę Otella!

— Nie żartuj, bo jestem w stanie w tej chwili cię udusić!

— A!... Chcesz ze mnie zrobić Desdemonę!

Krew uderzyła Orionowi do twarzy.

— Dosyć tego! — krzyknął i uderzył pię-

ścią w stół, aż porcelanowe figurki pospadały. — Wytłómacz się, jeżeli możesz!

— Z czegóż mam się tłómaczyć, mój drogi przyjacielu?

— Ze zdrady na mnie popełnionej... ze spółki występnej z Piladesem na moją niekorzyść związanej!

— Skądże masz prawo tak mówić?

— W tym liście stoi czarno na białem... Najwymowniejszy adwokat nie mógłby cię obronić... A każdy sąd na podstawie tego dokumentu musi na ciebie wydać wyrok hańbiący.

— I ty na seryo to mówisz?

— Mówię na seryo, i na seryo obiecuję ci poczynić potrzebne kroki, aby taki wyrok stał się publicznym!

Uśmiechnięta łagodnie, twarz Chryzantemy zaczęła się teraz zmieniać. Blada, jak marmur kararyjski, zaczęła się nagle ożywiać pod tętnem przyśpieszonem. Rozmarzone dotąd oczy zapłonęły błyskawicą nadciągającej burzy. Wstała z kozetki i wyprostowała się jak ko-

bieta, która na skroniach czuje koronę królewską.

— Dosyć tego! — zawołała głosem, w którym odzywała się duma obrażona. — Nie wchodzę w to, skąd ten list i kto go pisał. Może to być intryga lub żart niesmaczny. Może on w takim razie naśladować mój charakter, a może to fałszerstwo mieć jakie inne ukryte dla mnie cele. Mówię ci, że w to nie wchodzę, bo nie moją rzeczą jest wyjaśniać czyjeś intrygi lub bronić się. W tej chwili mogę tylko mówić jako kobieta, w głębi swego serca obrażona. Za tyle szczęścia, za tyle poświęceń, za tyle trosk, dla ciebie przebytych, spotyka mnie zarzut zdrady!... Czyś ty pomyślał, nim wyrzekłeś to straszne słowo, kogo ono trafia; czyś pomyślał, że tem słowem zraniłeś w głębi serce kobiety, która ci nigdy tego, nigdy nie przebaczy? Czyś pomyślał, że na taki nędzny zarzut ona nawet bronić się nie może, bo sama obrona ubliża już jej godności!... Czy ty wiesz, że w takim razie patrzy na ciebie kobieta, jak na nikczemnego potwarcę

i że tej nikczemności już nigdy nie przebaczy!

Wyrzuciła w tył głowę i rękę podniosła do góry. Patrzyła chwilę na męża wzrokiem przeszywającym, a na jej twarzy malowała się groza tragedyi.

— Stało się... Między nami skończone! Po tem, coś mi powiedział, jestem dla ciebie straconą!

Orion stał zapatrzony w żonę, jak w posąg marmurowy, artystycznie piękny, ale jak marmur zimny. Po jego twarzy przebiegały prądy kurczowe, ból wewnętrzny wysadzał mu na wierzch oczy, usta drgały, jakby chciały mówić, a nie mogły żadnego wyrazu wydobyć.

Nastąpiła długa pauza. Oczy Chryzantemy mierzyły go z pogardą, on patrzył na nią z wyrazem wstrętu.

Po chwili odetchnął ciężko.

— Jeżeli tak — odezwał się przytłumionym głosem — to ja ci więcej nic nie powiem!

Rzekłszy to, otworzył drzwi i z impetem zatrzasnął je za sobą.

IV.

W tym samym dniu, w którym pan Pilades został w sposób tak niezwykły ze służby w magazynie żałobnym uwolniony, było miasto inną sprawą zajęte. Stał się fakt dotychczas niezwykły. Pierwsza artystka dramatyczna została przez kochanka ze sceny w rzeczywistości wykradziona. Różne wieści obiegały w tym względzie po ulicach miasta, a wobec tak niezwykłego zdarzenia sprawa Piladesa przeszła bez żadnego rozgłosu.

Uprowadzenie ze sceny znakomitej artystki przyprowadziło dyrektora teatru do rozpaczy. Chodził on właśnie szerokimi krokami po kancelaryi teatralnej i liczył straty, jakie go teraz czekają. Abonament przedstawień dopiero

się zaczął, a skądże tu wziąć do ról pierwszorzędnych artystki dramatycznej!

Biedny dyrektor! Wczoraj w tym samym jedwabnym szlafroku grał rolę szlachetnego ojca i szczęśliwą kochankę na drogę do ślubu pobłogosławił!... Dzisiaj w tym samym szlafroku biega jak opętany po pokoju, złorzecząc wyrodnej córce wczorajszej.

I w chwili, gdy złorzeczeniom jego już słów zabrakło, gdy już wszystkie pioruny, bomby i kartacze wyczerpał a dyabłów nie stało, otworzyły się zwolna drzwi kancelaryi.

Nieznany gość stanął przed nim.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał szlachetny ojciec, przybierając nagle urzędową postawę dyrektora teatru.

— Nazywam się Orion — odpowiedział gość — i jestem właścicielem magazynu żałobnego przy ulicy Pogrzebowej.

— Dopiero za dwa tygodnie dam sztukę z przyborami pogrzebu.

— Z inną propozycyą przychodzę.

— Słucham.

— Dotknęło mię wielkie nieszczęście.

— Cóż mię to obchodzi?

— Ekonomia każe nam ze wszystkiego korzystać, a nawet z nieszczęść naszych.

— Ciekawy jestem, jak ja mógłbym z mego nieszczęścia korzystać. Zbiegła mi pierwszorzędna artystka!

— Nasze interesy schodzą się razem.

— Czy masz pan jaką artystkę do propozycyi?

— Właśnie w tym celu przyszedłem.

Dyrektor roześmiał się.

— Nie wiem czy to będzie dla mnie interes, od rana nachodzą mię kandydatki. Na furę nabrałbym tego towaru!

— Mój towar jest „prima!“

— Zapewne jaka młoda, jak zwykle mówią, utalentowana dziewczyna lub wdowa, która nie chce szyć na maszynie. O, mój panie, dzisiaj sztuka innych wymaga kapłanek! Dawniej podlotki uczyły się deklamować, chodzić na koturnie lub seplenić pieściwe słówka, dzisiaj sztuka czego innego wymaga. Przejąć się

urojoną rolą mogą tylko geniusze i to niezawsze szczęśliwie. Brak będzie prawdy życiowej, chociaż oddanie bez zarzutu... Najlepiej dzisiaj na deski teatralne nadają się ludzie wykolejeni, którzy sami popełniali różne zbrodnie, przestępstwa i wykroczenia. Kobieta, która nie zdradzała mężów swoich, nie otruła przynajmniej jednego kochanka, nie stawała przed sądem opinii albo kryminału — taka kobieta nie nadaje się dzisiaj do sztuki. Zdradzana i porzucana przez kochanków, inaczej będzie przemawiała na scenie do zdradzającego ją męża lub kochanka, niżeli ta, która nigdy zdradzoną nie była. To też oferta pana nie może mieć dla mnie żadnego interesu.

Rozjaśniły się oczy Oriona.

— Panie dyrektorze, moja propozycya odnosi się właśnie do tego towaru, o którym pan mówiłeś.

Nie zważał na te słowa dyrektor.

— Tak samo — prawił dalej — jak w literaturze żądano niedawno tak zwanych dokumentów życia, żądamy dzisiaj na deskach tea-

tralnych aktorów, którzy z tymi dokumentami już się w życiu obeznali. Naprzykład, kobiety upadłej nie odda nigdy na scenie z przejmującą prawdą aktorka, która w tym względzie sama nie nabyła dostatecznych doświadczeń. Próbowano wprawdzie dawniej takie sceny narzucić tynkiem poezyi, mówiono o sercu, wzdychano i łamano ręce, ale w tem wszystkiem ani za grosz prawdy nie było. Właśnie przemyśliwam nad tem, aby z jakiej instytucyi karnej do roli Macbeth wydostać zbrodniarkę, która podobną zbrodnię popełniła!

Orion zrobił ręką ruch odtrącający.

— Tak daleko, panie dyrektorze, nie sięga moja propozycya. Ograniczam się tylko do ról pewnych ekspresyi psychologicznych, jak naprzykład: słodycz bez granic i naiwność anielska wobec widocznej przewiny... dalej godność i duma obrażona, objawiająca się w ruchach, w spojrzeniu i w głosie!

— Któż jest tą kandydatką?

— Moja żona.

Dyrektor znowu się roześmiał.

— Zapewne jakie chwilowe nieporozumienie małżeńskie, podejrzenie, lub kłótnia o sos do pieczeni... a pan widzisz zaraz w tem zdolności dramatyczne.

— Przepraszam to nie farsa, lecz dramat!

— Cóż się stało?

— Moja żona zdradziła mię!

— Nic w tem nowego, chyba to, żeś się pan o tem dowiedział!

— Posiadam na to dokument, jej list własnoręczny do kochanka.

Orion westchnął i spojrzał w ziemię.

— I zapewne zaprzeczyła wszystkiemu, a pan uwierzyłeś, jak to zwykle mąż robi.

— Niestety, uwierzyć nie mogę, bo list zawiera wszelkie szczegóły popełnionej zdrady.

— I cóż pan zrobiłeś?

— Najpierw zrzuciłem mojego rywala ze schodów...

— Czy żona to widziała?

— Przyszła pod koniec tego aktu.

— I cóż mówiła?

— Nic, spokojnie weszła napowrót do pokoju, jakby nigdy nic nie zaszło.

Dyrektor mlasnął językiem, jakby coś smacznego połknął.

— Więc nic nie mówiła i zachowała spokój anioła niewinności?

— Jak statua wyrzeźbiona z białego marmuru, która stoi na wystawie.

— Cóż potem?

— Potem okazałem jej dokument zdrady i czyniłem jej gwałtownie wyrzuty.

— A ona?

— Uśmiechnęła się z wdziękiem i miała w szafirowych oczach swoich wyraz tak dziecięcej niewinności, żem zrazu zgłupiał!

— Przytrafia się to niejednemu mężowi.

— A gdym coraz gwałtowniej zaczął przemawiać i gdy spostrzegła, że tego za żart wziąć nie można, odegrała rolę urażonej w głębi duszy kobiety z takim artyzmem, że dotąd nie wiem, czy ona jest winną lub niewinną, chociaż niezbite dowody mam w ręku.

Dyrektor przeszedł się kilka razy po pokoju. Nagle zatrzymał się i rzekł:

— W tem, co mi pan mówisz widzę pewien talent wrodzony. W postępowaniu jej widzę pewne artystyczne stopniowanie uczuć na widok katastrofy. Strącony ze schodów adonis, który pewnie nie bardzo estetycznie przedstawił się jej w tej chwili, nie porusza wcale jej nerwów, bo taki spokój potrzebny jest do jej dalszej akcyi. Przejścia dalsze są prawidłowe, zacząwszy od niewiniątka aż do zranionej lwicy.

— Gdybyś ją widział wtedy, panie dyrektorze... jeszcze dotąd nie mogę jej zapomnieć.

— Czy masz pan jej fotografię?

— Oto jest, bez retuszu.

— Czy prawdziwie?

— Moja podaż jest rzetelną.

Nastąpiła dłuższa pauza. Dyrektor przypatrywał się z uwagą fotografii.

— Okazała, jakby na scenę stworzona kobieta... Czyś pan z nią mówił o tem?

— Po owej nieszczęsnej katastrofie wyszedłem z domu i dotąd jej nie widziałem.

— Skądże przyszła panu myśl obecnej propozycyi?

— Przy różnych medytacyach moich przyszło mi do głowy, że jeżeli nieszczęście się stało, to z tem nieszczęściem trzeba przecież coś zrobić. Wszystko należy sfruktyfikować na naszą korzyść, czy złe, czy dobre. Jeżeli złego odwrócić nie można, to niechże to złe przyniesie nam jakąś korzyść. A znając dobrze moją żonę, mam nadzieję, że otwierając przed nią kurtynę widowni publicznej, na której dobijać się będzie o zbiorowe względy publiczności, pozbędę się owych samojednych osobników, z których jednego przed godziną ze schodów zrzuciłem.

— Jest w tem coś prawdy, ale jakże weźmiemy się do interesu?

— Pan dyrektor zrobisz, co uważasz za stosowne — ja zostaję na boku.

— Daj mi pan adres, pójdę sam i obejrzę kandydatkę do ról dramatycznych.

V.

Podczas tej rozmowy panowała w pokojach nad sklepem żałobnym duszna atmosfera. Potłuczony Pilades ulotnił się wprawdzie z domu, ale skutki tego niezwykłego zdarzenia zostały w powietrzu. Służba opowiadała sobie różne rzeczy na ucho, a nawet widziała w tem wiele zabawnego.

Inaczej sądziła Chryzantema. Wiedziała, że w tak komiczny sposób zakończony romans nie może się już odnowić, jak to zwykle w dramatach bywa.

Myślała tylko nad tem, co teraz Orion zrobić może. Wyszedł i od kilku godzin nie wraca. Dokąd poszedł i co się z nim dzieje? Może udał się do swoich towarów wysortowanych, skąd głodny powróci na obiad. Czy w takim

razie nie byłoby dobrze przygotować dla niego jaką ulubioną potrawę, przy której mógłby ostatecznie o Piladesie i liście w podłużnej kopercie zapomnieć? Mogłaby przytem na deser uraczyć go słodyczą wyszukańszych pieszczot swoich, wobec których był tak słaby...

Po tych myślach nastąpiły poważniejsze. Orion opuścił ją w gniewie, z przekleństwem na ustach, był cały wzburzony, oczy świeciły mu złowrogo, usta drgały kurczowo...

W takiem usposobieniu cóż mógł on zrobić? Mógł wejść do swego gabinetu i tam wyskoczyć z okna głową na dół, mógł się otruć bajcą... świeżo dla czarnej farby sprowadzoną, lub zastrzelić się z rewolweru, który mu na imieniny darowała.

Tego jednak nie uczynił. Do gabinetu nie wszedł, bajcy, która jest pod kluczem służącego, nie zażądał, a strzału z rewolweru dotąd nikt nie słyszał. Cóżby mógł zrobić?

Mógł się — utopić!

Tak, to jest prawdopodobne. Wybiegł jak

szalony z domu... a w takim razie każdy szalony bezwiednie dąży nad brzeg wody!...

Tak jest!... Orion utopił się!

Cóż teraz będzie?

W głębi duszy, mimo wszelkich prądów czasu, pozostaną zawsze uczucia, któremi przez długie wieki karmiła się ludzkość. I Chryzantema doznała właśnie takich uczuć. Strata męża, który miał być jej towarzyszem do śmierci, zabolała ją. Mnóstwo wspomnień z niedługiej jeszcze przeszłości przesuwało się przed nią. Miały one jeszcze barwy jasne, a gdzieniegdzie nawet urocze. Dzisiaj trzeba to wszystko złożyć do grobu i nowe życie rozpocząć. Cóż może jej dać to nowe życie? Orion był mężem przyzwoitym i zbierał majątek, a Pilades — był niestałym kochankiem. Nawet ostatnią noc nie spała z powodu jego niestatku. Chciała się z tego powodu z nim rozmówić, wyrzucić mu jego niewdzięczność i przypomnieć mu owe chwile szczęśliwe, w których jeszcze nie było owej wdowy z rozpuszczonymi włosami, która teraz co kilka dni do żałobnego sklepu uczęszczała!

Wszystko to chciała niewdzięcznikowi powiedzieć, ale że na piśmie to lepiej wygląda, niżeli w konwersacyi, postanowiła ów fatalny list napisać.

Pisała go w nocy przez trzy godziny, włożyła w podłużną kopertę i ukryła między kartkami księgi kasowej, gdy jeszcze niestały przyjaciel w najlepsze zasypiał.

Nieszczęście chciało, że Orion pierwej wszedł do kantoru, niżeli wygodny jego pomocnik!

Cóż teraz będzie, jeżeli Orion nie żyje, a Pilades stał się niemożliwym?

Przecież Orion był tak dobry i poczciwy! Nie odmawiał jej niczego, jeżeli to znaczniejszej sumy nie przechodziło.

Przypomniała sobie ową chwilę na balu, gdy pomagał jej odpruwać rozdartą podszewkę ogona!... Jakże uroczo świecą w pamięci te chwile... jakże nie żałować tych chwil i człowieka, który właśnie te wspomnienia po sobie zostawił?

Świeża katastrofa, która odbyła się w tym pokoju i spowodowane przez nią medytacye podrażniły jej nerwy. Czuła, że jakiś płyn ogni-

sty przebiega jej żyły, że tętna uderzają jak koła młyna podczas powodzi... czuła, że jakaś siła nadzwyczajna rozpiera jej pierś i zmusza ją do monologów, których nikt nie usłyszy!...

W tej chwili zaleciał do jej ucha odgłos kroków... to po schodach ktoś idzie... to może on! To Orion...

O Piladesie w tej chwili nie myślała.

Otworzyły się zlekka drzwi, a do pokoju wszedł człowiek nieznajomy.

— Czy mam zaszczyt mówić z panią Chryzantemą?

— Tak jest — odpowiedziała zdziwiona.

— Jestem dyrektor teatru i przychodzę z pewną propozycyą, która pani tylko zaszczyt przynieść może, a z czasem nawet wiele, bardzo wiele brylantów.

— Nie rozumiem pana.

— Widywałem nieraz panią w teatrze i podziwiałem talent zrozumienia najsubtelniejszych odcieni w grze artystek moich.

— Do czegóż to prowadzi?

— Kto tak patrzeć na scenę umie, kto po-

trafi słuchać z takiem zajęciem a twarzy swojej nadać wybitny wyraz tego, co widzi i słyszy — ten musi być duszą pokrewny tym, na których patrzy. Patrzyłem pilnie na panią i pomyślałem sobie, że w duszy jej jest uśpiony talent znakomity. Pomyślałem sobie nieraz, że ta kobieta mogłaby być gwiazdą wszystkich artystek, za któremi ogół tak szaleje. A być przedmiotem szału, to rozkosz nielada!

— Nie mogę jeszcze pojąć...

— Wierzaj mi pani, że wielu ludzi ukrywa w sobie drogocenne perły i dyamenty, o czem wcale nie wie. Trzeba dopiero wprawnego oka znawcy, aby je ujrzał i należycie ocenił. Bez takiego trafu byłyby te miliony na zawsze pogrzebane... A przecież z tego, co ludziom dane, trzeba korzystać. Otóż zmierzam do mety.

— A jakaż to meta?

— Pani masz wszelkie warunki być znakomitą artystką!

Dziwny i nieokreślony uśmiech przebiegł po

twarzy Chryzantemy. W tym uśmiechu było wiele finezyi.

— Jeżeli się nie mylę — mówił zwolna dyrektor, jakby ten uśmiech badał — jeżeli się nie mylę, uważasz pani moją propozycyę za dziwną...

— Nie przeczę temu.

— Z tego, co teraz widzę na twarzy pani, wnoszę, że propozycya moja mogłaby jej ubliżać, ale chciej mię pani posłuchać.

— I owszem, proszę, niech pan mówi.

— Są pewne sytuacye w życiu ludzkiem, w których serce choćby pośrednio pragnie wypowiedzieć swoje uczucia, pragnienia, boleści i rozczarowania. Serce kobiece najbardziej potrzebuje tej ulgi, choćby tylko na scenie...

Chryzantema czuła, jakby wiele w tej chwili mogła wypowiedzieć...

— Pominąwszy sławę — prawił dalej dyrektor — adoracyę ogółu, no i dostatki, w które opływać może talent pierwszorzędny, już sama psychiczna rozkosz takiego zawodu jest nieopłaconą!

Chryzantema zawiesiła wzrok w powietrzu, jakby na coś tam patrzyła. Dyrektor mówił dalej:

— Szare jest życie w rzeczywistości, a mianowicie życie kobiet. Po kilku żywszych porywach w młodości następuje jednostajność, mierzona tylko skazówką na zegarze. Szczęściem nazywa się często ta jednostajność, jeżeli tylko można się obyć bez łez, bez katastrof bolesnych. Jedyną pocieszycielką jest wtedy wyobraźnia, która w pustych ścianach domu tworzy niekiedy żywsze obrazy i nimi zaspokaja nieuchwytne pragnienia.

Chryzantema słuchała zamyślona.

— Innych wcale roskoszy doznaje artystka sceniczna. Jest ona dzisiaj królową, jej serce rozdyma się majestatem królewskim, odbiera hołdy poddanych, rozdaje łaski i uśmiechy, jak kwiaty z pełnego rogu... Czy pani pojmuje tę rozkosz być choć przez dwie godziny królową?...

Oczy Chryzantemy strzeliły blaskiem.

— Zmieńmy kulisy. Oto kobieta kochająca szaleje z nadmiaru uczuć... a świat przegradza

ją zaporą od jej szczęścia! Wytrwałością zwalcza te zapory i wpada w objęcia tego, którego jej serce ukochało!... Cóż temu szczęściu może dorównać?

Płomienny rumieniec przebiegł po twarzy Chryzantemy, oczy jej zaświeciły, jak dwa brylanty.

— To tłómaczy zawód artystek nawet wtedy, gdy im brak wybitnego talentu. Przy skromnej płacy, w biedzie, a nawet i nędzy błąkają się po małych teatrzykach, grają po szopach żydowskich o chłodzie i głodzie, a desek teatralnych za nic w świecie nie porzucą! Prawdziwi męczennicy sztuki, którą ukochali! Wiedzą, że umrą w szpitalu lub pod cudzym płotem, a jednak nie zmienią obranego raz zawodu. Urojone rozkosze na scenie, podrażnienia czynów zbrodniczych, boleści serc rozdartych starczą im za wszystko!

Chryzantema uczuła dreszcz rozkoszny.

— A teraz oświećmy inaczej obraz. Znakomita artystka z porywającą prawdą wywiązuje się z roli swojej. Słowa jej poruszają ty-

siące serc ludzkich, tysiące oczu chwytają jej wdzięczne poruszenia, tysiące rąk biją oklaski, a gwar niezliczonych głosów uwielbia ją, podziwia, ubóstwia... ona panuje w tej chwili nad całą rzeszą... jest ich królową, jest bóstwem... czyż to nie starczy za mniej szczęśliwie przebyte życie w rzeczywistości?

Chryzantema odetchnęła głęboko. Oddech jej był gorący, jak lawa, gdy bucha z wulkanu.

— A taką uwielbianą, adorowaną artystką możesz być pani! — zawołał podniesionym głosem dyrektor.

Chryzantema posunęła ręką po gorącem czole, a potem spuściła ją na oczy.

— Słowa pana odurzają mię — rzekła — czyż godzi się rzucać mi przed oczy tak ponętną pokusę... i do tego w chwili, w której ona tak do mnie przemawia?

— Budzę tylko uśpiony talent, który nie jest dotąd świadom swojej potęgi.

— Czy pan się nie łudzisz? Czy rzeczywiście mam talent taki, o jakim pan mówisz?

— Możemy zaraz zrobić małą próbę.

— Jakto?

— Wyobraź sobie pani, że jesteś młodą dziewicą, że ten, którego serce wybrało, sprzeniewierzył się pani... a teraz przyszedł, aby żądać przebaczenia.

Dyrektor cofnął się do drzwi, przy których zatrzymał się, jak mniemany bohater.

Chryzantema ujrzała w nim w tej chwili Piladesa. Konwulsyjnym ruchem rzuciła się do drzwi.

— Precz! — krzyknęła głosem, w którym drżały wszystkie namiętności — precz, niewdzięczny, niech cię oczy moje nie widzą! Za tyle szczęścia płacisz mi zdradą, za tyle poświęceń, tyle trosk i niepokojów, za tyle nocy bezsennie przemarzonych, cóż mi dziś dajesz? Zdradę i obojętność! a jednak żadna kobieta tak cię kochać nie będzie, a jednak...

Tu głos jej miękł powoli i zniżył się do słodkiego szeptu, który zdrajcy już przebaczenie obiecywał, czego słowa bynajmniej jeszcze nie wyrzekły. Postawa rozjuszonej lwicy zmieniła się nagle w potulną pozę bolejącego anio-

ła, którego wdziękom najzapalczywszy zbrodniarz nie mógłby się oprzeć.

Dyrektor zmrużył oczy z widoczną rozkoszą.

— Wybornie! Przejście z jednego uczucia do drugiego, chociaż były one krańcowe, jest mistrzowskie. A teraz zmieńmy sytuacyę.

Chryzantema cofnęła się do stołu.

— Pani jesteś mężatką i niezbyt szczęśliwą w pożyciu z mężem. Wyrządza on pani krzywdę posądzeniem o niewierność. Z tego powodu powstają sprzeczki i pani ostatecznie podajesz się do rozwodu. Jakże pani mówić będziesz o takim tyranie domowym?

Chryzantema zrobiła ręką ruch gorączkowy, lekceważąc takie zdanie dyrektora.

— Ach, panie, na ten temat każda dzisiaj mówić potrafii. Czemże bowiem dzisiaj jest żona? Wprawdzie emancypacya nasza już dosyć postąpiła. Otworzyły się przed nami świątynie wiedzy, jesteśmy sędziami, adwokatami, uprawiamy przemysł, a jak dawniej robotnicy walczyli o prawo pracy, tak my uzyskałyśmy teraz prawo zabawy. Mamy bezpłatny bal co ty-

dzień, a jednak nie mamy jeszcze owej bezwzględnej wolności, która się nam należy. Instytucya małżeństwa robi z nas niewolnice. Należymy do jednego, o którym nie można wiedzieć, jakim on będzie!

— Rozwód!

— Prawda, mamy prawo do rozwodu, ale to prawo jest ograniczone. Przecież my nietylko raz, ale nawet i dziesięć razy możemy się pomylić i fałszywy zrobić wybór.

— Masz pani słuszność, byle tylko ta opinia...

— Otóż ta opinia ludzka jest niedorzeczna! Proszę sobie wyobrazić naprzykład męża, który mimo wszelkich poświęceń z naszej strony rzuca nam w oczy najnikczemniejszą potwarz zdrady! Cóż kobieta w takim razie pocznie? Może tylko z pogardą spojrzeć na niego! On nie zrozumie tej pogardy, nie zrozumie, że ona jest najlepszem świadectwem jej niewinności, a zamiast rzucić się przed nią na kolana, opuszcza w szaleństwie progi swego domu!... I cóż się z tą biedną kobietą stać może? Złość

ludzka, która tylko żeru szuka, jak zwierz padliny, obrzuci ją śliną i błotem, a mąż szalony zajaśnieje aureolą ofiary... a jeżeli szaleństwo jego zaprowadzi go nad brzeg wody i popchnie do zimnej kąpieli, wtedy głupia rzesza podniesie krzyk rozdzierający, wołając: „ukrzyżować ją... zabić ją... *Tue la!*“ I któż tu jest zbrodniarz, a kto ofiara? Mniejsza o to, gdyby ten mąż był tak zły, że go żałować nie trzeba... ale, jeżeli ten mąż posiadł rzeczywiście choć część serca tej, którą zniesławił... jeżeli w duszy zniesławionej zostawił choć kilka jaśniejszych wspomnień, wtedy, wtedy, mój panie, czuje kobieta w sercu gorące pragnienie pójść za tym zbiegiem, przeszukać wody jeziora, a znalazłszy go, rzucić się chociażby w zimne objęcia topielca!

W tej chwili otworzyły się drzwi z trzaskiem.

Wszedł Orion.

Chryzantema stanęła jak wryta. Po jej twarzy przemknęły rozmaite uczucia. Przestrach, groza, gniew, pogarda, rozczulenie, przebacze-

nie — wszystko to nastąpiło po kolei. Przegięta w tył postać konwulsyjnie pochyliła się ku drzwiom.

— Mój najdroższy! — krzyknęła w ekstazie szczęścia, rzucając się w objęcia powróconego męża.

Orion przycisnął ją do serca, łzy puściły mu się z oczu.

— Ona jest niewinną! — krzyknął do dyrektora.

— Talent, talent znakomity! — mruknął dyrektor, ale Orion tego nie słyszał.

VI.

W kilka dni potem, przed oknem redakcyi jednego z pism stołecznych stała grupa ludzi, przypatrując się wystawionej za szybą fotografii młodej kobiety.

Fotografia miała podpis: „Oriflama.“

— Jakaż ona ładna! — wołano zewsząd.

— Ależ piękna co się zowie. Prawdziwy sztandar królewski.

— Piękniejszej od niej niema w stolicy.

— Oczy sarnie z ciemnem zabarwieniem!

— Co za uśmiech uroczy.

— Usta niespokojne, jakby drżały zawsze od wzruszeń w głębi serca nurtujących!

— Anioł i demon zarazem! te brwi mogą się nagle obsunąć na oczy, jak chmury burzy.

— Co burzy!... huraganu!

Grupa powiększała się coraz więcej. W miarę doznawanych wrażeń mnożyły się coraz głośniejsze wykrzykniki.

— To nowa artystka dramatyczna wielkiego teatru. Kto ona jest?

— Występuje pod nazwą „Oriflamy!“

— Pochodzenie jej tajemnicze jak z „Tysiąca i jednej nocy.“

— Dyrektor teatru mniema, że to będzie ósmy cud świata.

Niedaleko od grupy stał młodzieniec o sympatycznej bladej twarzy. Ciemne oczy jego, utopione w portret nowej artystki, zmieniały światło, jak brylanty. On jeden nic nie powiedział, żadnego nie wydał okrzyku. Stał jak marzyciel wśród głośnej rzeszy. Nic słyszał nic, nie zważał na nikogo. Zdawało mu się, że jest sam jeden wśród głuchej pustyni, a przed nim tylko ona!

Rzesza ciekawych zmieniała się z każdą chwilą. Przychodzili i odchodzili, jak fale wody. Każdy coś wyrzekł, on jeden był niemy jak posąg.

Po niejakim czasie oderwał oczy od portretu i podniósł je wyżej ku górnej ramie kryształowej szyby. Obaczył tam podłużną kartę papieru i na niej przeczytał napis: potrzebny jest sprawozdawca teatru.

Rozjaśniły mu się oczy, po twarzy przebiegł rumieniec, pewna energia owładnęła jego postacią.

Wyrzucił głowę do góry i wszedł do sieni, z której było wejście do biura redakcyi jednego z pism stołecznych, noszącego tytuł „Wielki dziennik.“

Przeszedł szybko kilka wytwornych pokojów, w których siedzieli pracownicy dziennika, i zatrzymał się przed drzwiami rzeźbionemi, na których był napis: naczelny redaktor.

Siedzący przy drzwiach służący odebrał od niego kartę i z nią wszedł do redaktora. Za chwilę otwarły się dla gościa drzwi gabinetu.

Nieznajomy stanął przed redaktorem.

Był to człowiek z pewną arystokratyczną dystynkcyą, o srebrzystych już włosach. Sprytne jego oczy spojrzały na gościa przez złote

okulary. Zgrabnym ruchem ręki wskazał fotel, stojący naprzeciwko.

— Pan nazywasz się Orest, pozwolę sobie zapytać się, czego pan sobie życzysz?

— Chciałbym zostać w pańskim dzienniku sprawozdawcą teatru.

— Możemy o tem pomówić.

Redaktor obejrzał nieznacznie pretendenta od stóp do głowy i uśmiechnął się przychylnie. Wydobył ze srebrnej szkatułki dwa małe cygara, z których jedno podał gościowi.

— Najprzód chciej mi pan w krótkości określić dotychczasowe swoje stanowisko.

Młodzieniec opowiedział mu, że jest synem jednego z najmłodszych członków akademii, znakomitego autora, a sam kandyduje o stałę ajentury adwokackiej. Mówił przytem, że jest wielkim miłośnikiem teatru i że nawet pod pseudonimem napisał parę sztuk, grywanych z sukcesem w wielkim teatrze Talia.

Opowiadanie okazywało niezwykłą inteligencyę młodego prawnika a miłośnika sceny i literatury scenicznej. Redaktor słuchał go z uwa-

gą, a z jego uśmiechu poznać można było, że sprawił na nim dobre wrażenie. Po dłuższej pauzie ozwał się do kandydata:

— Wstęp do interesu bardzo ładny i dobry. Pan jesteś synem znakomitego człowieka i masz wyższe szlachetne popędy dla sztuki. Chodzi tylko o warunki materyalne.

— Zdaję się zupełnie na pana redaktora. Moje żądania są jaknajskromniejsze. Mam po babce domek na przedmieściu jednopiętrowy, a płaca w biurze mego pryncypała wystarcza mi na życie.

Redaktor zaciągnął się dymem z cygara i milczał czas niejaki. Po chwili wypuszczając dym, który całą twarz jego zasłonił, zapytał:

— Ileż możesz mi pan ofiarować za posadę sprawozdawcy teatru?

Młody kandydat spojrzał zdziwiony, jakby redaktora nie zrozumiał.

— Ile mogę ofiarować?—odrzekł zmieszany.

— Tak jest; chcę wiedzieć, jaką ofertę możesz mi pan zrobić, abym według tego mógł się zoryentować.

— Ofertę?

— Nie rozumiesz mię pan? Chcę poprostu wiedzieć, ile pan zapłacisz mi za to, że w moim dzienniku pozwolę panu umieszczać sprawozdania z teatru, rozumie się z podpisem swoim.

— Ależ ja myślałem, że redakcya płaci swoich sprawozdawców.

— Jak widzę, pan spóźniłeś się o jakie sto lat w poglądach swoich na dziennikarstwo. Dawniej tak bywało, ale dzisiaj inne są czasy. Bawi mię naiwność pana. Czuję przy panu atmosferę naszej poczciwej starej akademii.

Kandydat patrzył na redaktora, bo go jeszcze nie mógł zrozumieć. Zarumienił się, że go nazwał człowiekiem zacofanym, wskutek czego owładnęła go pewna lękliwość.

— Jak widzę — ciągnął dalej redaktor — świat w kierunku praktycznym dalej postąpił, aniżeli to panu wiadomo. Nawet z przeszłości mogę panu dać przykład takiego postępu. Dawniej Paryż za oczyszczanie miasta płacił przedsiębiorcy dwa miliony, dzisiaj płaci przedsię-

biorca za pozwolenie oczyszczania cztery miliony!

— Nie mogę zrozumieć związku...

— Rzecz bardzo prosta. Drugi przykład dam panu. Jeden z moich stryjów, którego nawet byłem sukcesorem, za posadę starszego kelnera w pewnej restauracyi wiedeńskiej płacił gospodarzowi pięć tysięcy guldenów rocznie. Funkcyą jego było tylko odbieranie pieniędzy od gości.

Kandydat poczerwieniał na twarzy.

— Ja przecież „napiwków“ brać nie będę!

— Mniejsza o wyraz, gdy zyski być mogą. W sferze bankierów, którzy pośredniczą w transakcyach, nazywa się to „courtage“ a w biurach ministeryalnych figurują tak zwane „udziały“ w konsorcyach przedsiębiorczych.

Miłośnik sztuki potarł ręką po gorącem czole. Twarz jego posmutniała.

— Nie możesz pan jeszcze zrozumieć? Oto niedawno zmarł mój sprawozdawca z salonów sztuk pięknych. Uciułał sobie na tem stanowisku pół miliona, a za tyleż sprzedano po jego

śmierci galeryę obrazów, które zebrał od najpierwszych mistrzów naszych. Sprawozdawca taki, mój młody przyjacielu, to wielka potęga dzisiaj na polu sztuki, literatury, wydawnictw i rozmaitych przedsiębiorstw. On wyrokuje, daje i odbiera powodzenia, a jeżeli jest zręczny, z miernot tworzy mistrzów, a z lichej bibuły — arcydzieła...

— Przecież publiczność...

— Publiczność, to stado owiec; na rozkaz sprawozdawcy będą beczeć *unisono*, jak im każe! Gdybyś pan był o wiele starszy, mógłbyś sporo naliczyć dzieł i wielkich ludzi, którzy w swoim czasie dużo hałasu narobili, a o których dzisiaj nikt nic nie wie. Z tego owczego pędu trzeba korzystać.

Nastąpiła dłuższa pauza. Redaktor otrzepywał zwolna popiół z cygara, a młody kandydat kręcił i rozkręcał swoje ciemne, ładne wąsiki. Po jego zamyślonej twarzy przemykały od czasu do czasu jaśniejsze światła, to znowu gasły, jak gasną promienie zachodzącego słońca.

Po chwili zaczął redaktor:

— Pan chcesz być sprawozdawcą teatru. Oprócz pewnych emolumentów rzeczywistej wartości otwiera się przed panem wspaniały widok owego raczej idealnego szczęścia, jakiego dostarczyć może grono kobiet wyborowych, kapłanek sztuki! Czy pan tego nie cenisz? Czy dla młodzieńca z postawą Apollina niema to żadnej wartości? Będziesz jak sułtan w haremie! Słodkie spojrzenia, rozkoszne uśmiechy, nie idąc dalej — wszystko to będziesz miał z pierwszej ręki! Od ciebie zależeć będzie powodzenie sztuki, artystów, reżyserów, a nawet dyrektora teatru! Los tych wszystkich będzie w twoich ręku. Za twojem skinieniem sypać się będą wieńce i brylanty. Za twojem przyzwoleniem wyliczy państwo subwencyę dyrektorowi!... Jeżeli milionowy bankier za pośrednictwo w interesie pobiera „*courtage*,“ jeżeli ministrom ofiarują przedsiębiorstwa „udziały,“ dlaczegoż krytyk sprawozdawca miałby odpychać część zysków, przez niego wywołanych?

Młody kandydat patrzył przed siebie zamyślony. Usta jego drgały kurczowo, jakby na

widok wstrętnej potrawy. Ciemne oczy, otwarte szeroko, patrzyły gdzieś daleko, po za ścianę redaktorskiego gabinetu. Pierś podnosiła się głębokim oddechem.

— Czy pan nie zmienisz swoich poglądów na stanowisko krytyka sprawozdawcy?

— To znaczy cofnąć się o lat sto — odpowiedział redaktor, zapalając świeże cygaro.

— Nie myślałem, że i sędzia, jakim w istocie jest każdy krytyk...

— Sędzia — przerwał redaktor — jest związany paragrafami, a krytyk ich wcale nie zna. Gdy kto ukradnie, sędzia musi go nazwać złodziejem, a mordercą, jeżeli kogo zabije. Krytyk może na czarne powiedzieć, że jest białe, a białe nazwać czarnem, według swego oka lub kaprysu. Nikt mu tego za złe nie poczyta. Masz pan tego dowód przy nowo wystawionej sztuce. Dziesięć dzienników powita ją jako arcydzieło, a drugie dziesięć nazwie ją lichotą!

— Publiczność...

— Publiczność będzie chodzić gromadnie na widowisko, aby się przekonać, kto z nich ma

słuszność. Większość będzie się zachwycała, a mniejszość odejdzie z oburzeniem do domu i tam się zamknie. Autor sztuki zrobi zawsze dobry interes... no, a przy nim przychylny jego krytyk!

Młodzieniec westchnął głęboko.

— Więc inaczej być nie może? — zapytał.

— Co miałem powiedzieć, powiedziałem.

— Jakąż remuneracyę miałbym płacić panu za urząd sprawozdawcy teatru?

— Dwadzieścia tysięcy rocznie, z obowiązkiem trzyletniej służby przynajmniej.

Kandydat drgnął na te słowa.

— Prawie tyle — rzekł półgłosem do siebie — ile wart jest mój domek po babce!

Nastąpiła dłuższa pauza.

— Mój panie, czas ucieka — zagadnął redaktor.

— Zgoda! — odpowiedział z gorączkową energią młody kandydat.

I obaj podali sobie ręce.

Otworzyły się drzwi; do gabinetu wszedł dyrektor teatru.

— Wybornie! — zawołał redaktor — mogę panu zaraz przedstawić przyszłego sprawozdawcę teatru.

Dyrektor zgiął się w kabłąk i zaczął suwać nogami, jakby przed świeżo udekorowanym ekscelencyą.

— Niezmiernie cieszy mię ten zaszczyt — jąkał szczęśliwy — że mogę pana wraz z redaktorem zaprosić na obiadek, który jutro wydaję dla fenomenalnej „Oriflamy,“ nowej artystki mojej trupy!

VII.

W życiu małżonków nastąpiła teraz wielka zmiana. Chryzantema, nazwana „Oriflamą“, przeniosła się z efektem z botaniki między godła królewskie i stanęła dumnie obok konstelacyi Oriona. Zabłysnęła rzeczywiście jako „płomienne złoto“ niezwykłym talentem na scenie wielkiego teatru stolicy. Jej postać urocza dopełniła reszty. Nowy sprawozdawca olbrzymiego dziennika umiał ją tak kunsztownie wprowadzić na widownię publiczną, że zachwyceni widzowie patrzyli na nią, jakby na jakie zjawisko legendowe. Nie powiedział wprost, że to właścicielka magazynu żałobnego, ale napomknął coś o żałobie, o ponurych kirach minionej przeszłości, wieńcach, jakimi groby się zdobią, i feniksach wylatujących z popiołów.

Na tem tle fantastycznem rzucił jej postać w tak niejasnych a jednak uroczych konturach, że każdy widział w niej to, co mu ognista podawała wyobraźnia. Dodawano do tego komentarze najdziwniejsze i tworzono osobistość z „Tysiąca i jednej nocy.“

Już pierwsze jej występy odurzyły widzów. Oklaskom, uniesieniom nie było końca. Posypały się wieńce i brylanty, a blady sprawozdawca „Wielkiego dziennika“ pracował całą noc, aby tylko zarejestrować to wszystko, co widział i słyszał. Rozumie się, że stosownie do tych sukcesów wyznaczył dyrektor nowej artystce taką pensyę, jakiej dotąd żadna jej poprzedniczka nie pobierała.

Taka zmiana położenia wywołała także zmianę w stosunkach domowych szczęśliwego małżeństwa.

Orion zachwycony był odkryciem takiego talentu u swojej żony, a o przyczynie tego odkrycia zupełnie zapomniał. Odurzały go sukcesy tego talentu, a jeszcze więcej nadzwyczajne zyski, jakie teraz przynosił.

Zyski te przewyższały znacznie dochody magazynu żałobnego wraz ze sklepem towarów wysortowanych. Trzeba więc było stosownie do tego dom swój urządzić i nowe położenie zaznaczyć.

Magazyn żałobny przeszedł pod zarząd starszej kobiety z przybraniem kilku młodych i, jak tego sobie życzyła Chryzantema, bardzo przystojnych pomocników. Sklepem zaś towarów wysortowanych zawiadywał dawny jego pomocnik. Orion usunął się z widoku, zastrzegając sobie tylko sprawdzanie od czasu do czasu podawanych rachunków.

Przy jednej z głównych ulic zajęło teraz szczęśliwe małżeństwo wspaniałe mieszkanie. Były tam osobne salony dla Oriona, a osobne dla Chryzantemy. Rozdział interesu wymagał teraz rozdziału gości. Gdy szczęśliwy gospodarz gościł u siebie przemysłowców, miłośnicy sztuki bawili się w salonach „Oriflamy.“ Dom taki kosztował wiele, ale zyski były daleko większe, nie licząc w to własnych doznawanych przyjemności.

Orion był teraz szczęśliwy. Wieczorem chodził do loży, z której patrzył na sukces swojej żony i podawane jej brylanty, z których część wartości oczywiście i jemu przypadała. A zaledwie rano oczy otworzył, czytał w „Wielkim dzienniku“ sprawozdanie zacnego Oresta, malowane tak uroczemi barwami, jakie niegdyś w swojej młodości podziwiał na bańkach mydlanych! A talent Oresta był niewyczerpany. Umiał on każdy gest artystki takim ogniem bengalskim oświecić, każdy jej uśmiech i każde spojrzenie tak plastycznie uwypuklić, że to nie było już malowidło, lecz rzeźba genialna. Czasem przychodziło mu nawet na myśl przy takiem czytaniu, czy nie lepsze jest sprawozdanie od samego utworu!

A gdy protektorowie i miłośnicy sztuki zasiedli przy jego stole, gdy widział, jak Chryzantemę obrzucano kwiatami komplimentów, ścigano spojrzeniami, jak wszyscy korzyli się przed nią, jak przed królową — było mu tak błogo koło serca, jakby sam był królem i w pur-

purze przy niej siedział! Szczęśliwym był nad miarę!

Czasem tylko, jakby zazdroszcząc mu jego szczęścia, przyśnił mu się Pilades. Nie złorzeczył mu jednak; przeciwnie, żal mu było, że go tak nielitościwie ze schodów był zrzucił. Wszak to on był sprawcą dzisiejszego jego szczęścia. Prawdopodobnie dla jakiejś intrygi sfałszował ów list w kopercie podłużnej, ale za to zbyt srogo został ukarany.

W ten sposób odpędzał tę marę od siebie, a chcąc do szczętu o niej zapomnieć, wchodził do wykwintnych salonów żony, w których wszystko błyszczało od złota a lśniło od jedwabiów. W tym godnym przybytku sztuki było mu tak błogo, jak w przedsionku nieba, o którem miał wyobrażenie, że tam wszystko pochodzi z magazynów najprzedniejszych, z wyjątkiem odzienia nieboszczyków, którzy się w jego sklepie żałobnym ubierają.

Na to niebo pogodne wysunęła się jednak mała chmurka, o której nie wiedział co mu przynieść może.

VIII.

Salony Chryzantemy były często odwiedzane. Gdy Orion ze swego gabinetu do nich się zbliżał, słyszał tam różne głosy. Najczęściej poznawał po nich, kto tam był, a wtedy odchodził spokojnie do swego zatrudnienia.

Często przychodził dyrektor w sprawie nowej sztuki lub kostyumu, jakiego miał dostarczyć; częściej odwiedzał ją reżyser, naradzając się z nią o ensemble'u, w jakim wystąpić miała, a czasem ten i ów aktor, który, po gwałtownej scenie, miał ją sztyletem przebić. Prócz tego przychodziły kobiety, które jej przyborów tualetowych dostarczały, modniarki i krawczynie, z któremi odbywała długie narady.

Druga serya gości wyglądała inaczej. Byli

to protektorowie sztuki, ludzie już nie młodzi, ale bardzo bogaci. Od nich to najczęściej pochodziły brylanty i perły, oni wyprawiali zazwyczaj dla słynnej artystki lukullusowe biesiady, których i mąż był uczestnikiem. W salonie Chryzantemy zabawiali się zwykle wykwintnym flirtem, bez żadnych poważniejszych następstw. Pachnęła im atmosfera teatru i za nią chętnie płacili.

Do tych poważniejszych miłośników sztuki przyłączali się młodsi miłośnicy, którzy z zapałem gorętszym patrzyli na kapłanki sceny. Zamiast brylantów rzucali bukiety, zamiast pereł podawali wieńce z jedwabnemi szarfami. I ci ograniczali się na flircie, chociaż ten flirt miał już wymowniejsze znaczenie.

Przychodzili także sprawozdawcy, malarze i literaci, jako pokrewni duchem. Atmosfera salonu była wtedy wesoła, rozmowy dowcipne chociaż często zbyt poufałe, jak to się często w rodzinie dzieje. Chryzantema najlepiej lubiła tę atmosferę i była w niej tak ożywioną, jak w rolach swoich na scenie.

Orion czuł się w tej atmosferze nieco upośledzony. Wesoła dziatwa Apollina uważała go między sobą za niepotrzebny dodatek, za koniecznego niejako intruza. Czasem zwracano się do niego z rozmową, ale często ignorowano, zostawiając go własnym jego medytacyom. Przypominał się im tylko przy podawaniu cygar, albo gdy poprzedzał lokaja niosącego na posrebrzanej tacy wino i zakąski. Za to mógł się nasłuchać do woli dowcipnej rozmowy i uśmiechać się z zadowoleniem na wesołe odcinki dzisiejszej Oriflamy *ci-devant* Chryzantemy.

Najuprzejmiej zachowywał się względem niego pan Orest, blady sprawozdawca „Wielkiego dziennika.“ Gdy go ujrzał zatopionego w medytacyach, zbliżał się do niego i rozmawiał z nim tak długo, jak tylko było można. Okazywał mu pewien szacunek, jako gospodarzowi domu, jakiego inni mu skąpili. Słuchał cierpliwie jego poglądów na sztukę lub stosunki społeczne, a jeżeli wypadło kiedy im się sprzeciwić, czynił to z taką wyszukaną grzecznością, że Orion nie był pewny, czy on

miał racyę, czy jego przeciwnik. Widział w tym gościu tak wielką życzliwość dla siebie, że miał go prawie za przyjaciela. Gdy go dwa dni nie było, zapytywał Chryzantemy, gdzie się podział i czy o nim nic nie wie. Chryzantema najczęściej takich pytań nia słyszała, zajęta czem innem.

Razu jednego po sprawozdaniu Oresta z wczorajszego występu Oriflamy, napisanem w poetycznem natchnieniu, rzekł przy śniadaniu do żony:

— Nieoceniony pan Orest! gdybyś nie była moją żoną, a ja tylko z jego sprawozdań ciebie znał, to mógłbym się w tobie zakochać!

Chryzantema spojrzała z uwagą na niego. W zmrużonych jej oczach błysnął płomyk niepokoju.

— Skądże ci znowu przyszło to do głowy? Podejrzewam cię, że po pięciu latach małżeństwa chcesz flirtować ze mną!

I uśmiechnęła się rozkosznie, przyczem ujrzał szczęśliwy Orion na jej twarzy dwa wdzięczne dołki, jakich pierwej tam nie było.

— Skądże wzięłaś te dołki? — zapytał.

— Przecież teraz jestem artystką, a jako taka muszę wyrabiać sobie twarz do różnych ekspresyi — odpowiedziała, uderzając go pieszczotliwie po ręce.

— Dziwna rzecz, że w ciągu pięciu lat małżeńskich nie wyrobiłaś sobie dla mnie tych ekspresyjnych dołków!

I zaśmiał się szczęśliwy i ucałował jej rękę.

— Mówiłeś o panu Oreście, to bardzo życzliwy mi recenzent — zagadnęła z badawczem spojrzeniem.

— Widzę to z czytania jego recenzyi.

— Gdyby nie on, nie miałabym może tak szalonego powodzenia.

— Sądzę, że on tylko idzie za głosem publiczności, którą doprowadziłaś do szału.

— Tak myśli publiczność, ale właściwie on ją do tego nastroił. To mój najpierwszy przyjaciel!

— Dlaczego nie mówisz *nasz*? Twoje powodzenie jest również i mojem.

— W tej chwili myślałam tylko o sobie.

Właśnie ozwał się dzwonek w przedpokoju. Chryzantema spojrzała na zegarek.

— Ach to on! — zawołała — zapomniałam, że o tej godzinie miał przyjść, aby się ze mną co do jutrzejszej sztuki rozmówić.

— Więc poprosić go do śniadania.

— Nie jestem ubrana. Zaproś go sam, a ja potem przyjdę.

Wstała szybko i jak powiewne widmo zniknęła w amfiladzie salonów prowadzących do jej buduaru.

Orion powitał gościa serdecznie i zaprosił do herbaty z zimnym kapłonem.

Pan Orest nieśmiało spojrzał na niego. Z pewnem przykrem uczuciem podał mu rękę na przywitanie. Zdawało się, że uścisk ręki sprawiał mu jakąś boleść. Jego oczy opadły na ziemię.

— Właśnie mówiliśmy z żoną o panu — rzekł wesoło gospodarz — która bardzo słusznie utrzymuje, że pan jesteś najlepszym naszym przyjacielem. Powiedziałem, że i ja tak sądzę.

Po bladej twarzy Oresta przemknęło jakieś niemiłe uczucie. Powieki jego oczu drgnęły i spuściły się znowu na dół.

— Chciałbym nim być — odpowiedział z bolesnym uśmiechem — gdybym tylko nim być potrafił.

— To, co pan nam dajesz, dowodzi już wielkiej przyjaźni.

Orion zaśmiał się z zadowoleniem.

Wesołość gospodarza udzieliła się gościowi.

— Uprzedzam pana — odparł z uśmiechem — że ten, co daje, mógłby także coś wziąć.

— Prawda, dobra przymówka. Ten, który bierze, musi w zamian coś dać. Zaraz wypełnię swój obowiązek gospodarza.

I zręcznym ruchem dwuramiennego widelca przeniósł z półmiska na talerz gościa ćwierć kapłona.

Gość uśmiechnął się z ironią. Orion rozpoczął dłuższą rozmowę.

— Czytając dzisiejszy artykuł pana, znienawidziłem do szczętu tego brzydkiego murzyna!

— A przecież Desdemona kochała go.

— Tak, ale ten potwór wyrządził jej tak wielką krzywdę!... Czy sądzi pan, że Oriflama w roli Desdemony...

— Była niedościgniona!

— Skądże ten potwór murzyński mógł powziąć takie podejrzenia szkaradne?

— Trzeba znać, jak dzisiaj mówią, fizyologię uczuć psychicznych. *Tout comprendre c'est tout pardonner!*

— Ale zawsze — rozum od czego?

— W tej sferze niema rozumu. Gdzie uczucie czy namiętności zawładną, tam niema miejsca dla rozumu. Następuje bezkrólewie, pod sztandarem mniej lub więcej szalonego uczucia, czemu ulegają nieraz najrozsądniejsi i najszlachetniejsi ludzie.

Orionowi stanął przed oczyma Pilades.

— O mój zacny przyjacielu! — zawołał z rumieńcem na twarzy Orion, ściskając rękę gościa. — Jakżeś to pięknie powiedział! Zacny i szlachetny człowiek może nieraz zrobić głupstwo i biednej kobiecie krzywdę wyrządzić!

Widać, że to już taka natura ludzka! Doświadczyłem sam.

— Doświadczyłeś pan?

— Tak; znałem pewne małżeństwo, które w podobnej było sytuacyi.

Zamilkł i zaczął palcami bębnić po stole. Orest poetycznem, melancholijnem okiem patrzył na niego. Widocznie posmutniał.

— Znałem to małżeństwo — mówił dalej Orion, patrząc na stół — zacne, poczciwe było małżeństwo.

Orest wstrząsnął się, jakby go zimno owionęło.

— Ale, jak pan mówisz — mówił dalej Orion — że to już natura ludzka taka, że człowiek panować nad sobą nie może. Jak go coś dotknie, to zaczyna wierzgać, jak koń, gdy czuje na skórze bąka. Ale dlaczegóż jest człowiek takim?

— Człowiek jest często zagadką dla siebie. Sam nie wie co robi i dokąd idzie. Czuje tylko, że go coś naprzód popycha a nie czuje w sobie siły oporu!

— To prawda... przypominam sobie... to

małżeństwo, o którem mówiłem. Człowieka ogarnia wściekłość i mógłby nawet głową o mur uderzyć...

— A najgorzej dla niego, jeżeli wie, że tego muru głową przebić nie można!

Orest wstał i niespokojnym krokiem przeszedł się po pokoju.

W tej chwili zaszeleściły koronki. W amfiladzie pokazała się eteryczna postać Oriflamy.

Artystka była staranniej, niż na poranne godziny, ubrana. Mianowicie włosy były tak misternie rozrzucone po kształtnej głowie, jakby wyszły z pod rąk najbieglejszego fryzyera. W rozkosznym półuśmiechu zarysowały się wdzięcznie świeżo nabyte dołki, w których, według świadectwa starych klasyków, miały się ukrywać zdradliwe Amorki.

Podała łaskawie rączkę Orestowi, który skłonił się nizko, jak przed królową.

— Trafiasz na rozmowę o Desdemonie — zawołał Orion w roli gospodarza.

— Wolałabym rozmawiać o Otellu — od-

parła Chryzantema, odsłaniając do gościa drobne jak perły ząbki.

— Ten już dostał za swoje — odrzekł Orion.

— Dobrze się stało, bo na to zasłużył — dokończyła Chryzantema, a zwracając się do Oresta dodała: — a teraz może pan pozwolisz do mojego buduaru, aby omówić rolę moją w przyszłych „Divorçons!“

Uśmiech przelotny przebiegł po twarzy Oresta. Skłonił się lekko Orionowi i elastycznym krokiem podążył za Chryzantemą do buduaru.

W przyćmionej atmosferze amfilady był podobny do średniowiecznego rycerza, goniącego za wymarzoną królową swojego serca.

Orion wyszedł do magazynu towarów wysortowanych.

IX.

Idąc do magazynu, uśmiechał się Orion z zadowoleniem do siebie. Patrzył oczyma duszy na długi szereg liczb, które rozkosznie biegły przed nim. Wiązały się w setki i tysiące i pląsały, jak rusałki. Był to domniemany rachunek, jaki spodziewał się ujrzeć w kantorze magazynu, jako obrót miesięczny.

Prócz tego rachunku cieszyła go jeszcze ukryta dotąd niespodzianka, jaką miał sprawić staremu zarządcy. Dotąd spoczywała ona w aksamitnym futeraliku, który przy każdym kroku czuł na swojej piersi tuż przy sercu. Była to szpilka brylantowa znacznej wartości, którą po sprawdzonym rachunku miał obdarować starego zastępcę. Cieszył się więc nietylko z domniemanych liczb pomyślnych, ale także i z ra-

dości, jaką sprawi tym podarunkiem gorliwemu urzędnikowi.

Zatrzymał się przed magazynem. Za szybą kryształową zwykł był widzieć kunsztownie ułożony stos towarów najponętniejszych — tym razem ujrzał tam kupę bezładnie porozrzucanych resztek. Cóż to jest?

Otworzył drzwi. W magazynie nie było nikogo. Wszedł do składu, który się w tyle znajdował, i zastał tam służącego, który z powagą przechadzał się wśród pak otwartych.

— Gdzie jest pan Jesion? — zapytał niespokojnie.

— Jeszcze nie przyszedł — odpowiedział z powagą złowrogą służący.

— A pan Klonik?

— Pan Klonik?... może już nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Zapewne wyjechał.

— Dokąd wyjechał?

— Albo ja wiem... może do Ameryki.

Krew uderzyła Orionowi do głowy.

— Więc kradzież — prosta kradzież!

— Tak się zdaje. Przyszedłszy rano, aby zrobić porządek, zastałem drzwi od tyłu niezamknięte. Stróż mówił mi, że młodszy pomocnik był tu z ekspresem o rannej godzinie i jakąś pakę wyekspedyował.

— Ależ to nie może być! Pan Klonik był poczciwym chłopcem!

— Albo ja wiem, czy był poczciwym lub niepoczciwym. Ludzie bywają rozmaici.

W tej chwili wszedł stary zarządca.

— Klonik okradł mię! — zawołał Orion — czy pan Jesion nic o tem nie wiesz?

Stary towarzysz zmarszczył brwi.

— Gdzie ja jestem — odrzekł z oburzeniem — tam żadnej kradzieży być nie może!

— Służący powiada...

— Służący interesu nie rozumie. Klonik ekspedyował towary według mojego rozkazu. Wychodząc po ekspresa, zapomniał drzwi zamknąć. To cała jego wina, za co zostanie grzywną ukarany.

— A towary z wystawy?

— Czy ich tam niema?... Znajdą się, znajdą. Kazałem zmienić wystawę.

Zimna krew starego zarządcy uspokoiła nieco Oriona. Znał go dobrze od lat kilkunastu. Wiedział, że surowo wypełnia swoje obowiązki i taką miał wiarę w swoją nieomylność, że możliwe omyłki pokrywał z własnej kieszeni, nie przyznając się do nich.

Orion zaczął się uspokajać, a gdy za chwilę uśmiechnięty pan Klonik wszedł do magazynu i z wielką submisyą pryncypała powitał, był tenże prawie pewny, że niechętny mu sługa rzucił na niego potwarz nieugruntowaną.

Orion przeszedł do przeglądania ksiąg, a chociaż tam wszystko było w porządku, zapomniał o przygotowanym dla starego Jesiona podarunku.

Doznane bowiem dzisiaj wrażenie zneutralizowało jego popęd szlachetny. Nie obudził się ten popęd również i po rozmowie pożegnalnej ze służącym.

— Co cię upoważniło do posądzenia pana Klonika o przeniewierstwo? — zapytał Orion z widocznem niezadowoleniem.

Służący poskrobał się w głowę.

— Tylu złych ludzi — odpowiedział — że człowiek nie wie, przed kim zdjąć czapkę a kogo trącić.

— Dlaczego trąciłeś pana Klonika?

— Pan Klonik na to, co ma, za dużo pieniędzy wydaje.

— A co ci do tego, jeżeli wszystko jest w porządku?

— Tak samo powiada zawsze pan Jesion.

Orion opuścił magazyn. To, co dziś widział, nie mogło mu wyjść z głowy. Nie przekonał się o żadnej malwersacyi, ale podejrzenia jego nie znikły zupełnie. Czuł, że się tam coś dziać może na jego niekorzyść. Trudno o wszystkiem wiedzieć i wszystko sprawdzać. Trzeba ludziom ufać, bo zaufanie do każdego interesu jest potrzebne.

Zaufanie to zachwiało się teraz trochę. Zbudzona podejrzliwość wzmocniła to zachwianie. Przychodziły mu na myśl różne nadużycia jego podwładnych, które z każdym krokiem stawały się możliwsze. Zajęta raz tem wyobraźnia two-

rzyła w tym kierunku coraz to inne obrazy. Widział oszukaństwa, kradzieże, bankructwo, ruinę — ale wszystko to znikło, gdy wszedł w magnacką klatkę schodową, prowadzącą do jego mieszkania. Atmosfera gabinetu nasycona świeżo zapachem leśnym i widok wykwintnego zbytku, który go tu otoczył, uspokoiły go zupełnie.

Chciał się podzielić z Chryzantemą wrażeniami świeżo doznanemi i opowiedzieć jej całą przygodę.

W tym celu zbliżył się do jej apartamentów, uśmiechając się na myśl, jak to ją zabawi, i jak z jego podejrzeń śmiać się będzie.

Zaraz w drugim pokoju przypomniał sobie, że Chryzantema miała właśnie w tym czasie odbyć konferencyę z panem Orestem co do roli w przyszłej sztuce. Nie wiedząc czy konferencya już się skończyła, a nie chcąc jej przeszkadzać, cicho zbliżył się do drzwi buduaru, przysłoniętych w połowie grubą jedwabną kotarą.

Konferencya trwała jeszcze. Chryzantema

recytowała właśnie jakiś monolog ze sztuki, przy którym pan Orest czynił pewne uwagi, które potem Chryzantema zbijała.

Chryzantema była w tej chwili artystką, nie chciał jej przeszkadzać. Usiadł na miękkim szezlongu, przypierającym do kotary.

Konferencya trwała dalej. Następowały pojedyńcze słowa, przerywane nagle, jakby w dyalogu na scenie. Zdaje się, że Chryzantema czytała swoją rolę a pan Orest, w braku aktora, odpowiadał jej. Wyglądało to zupełnie na spólnie odczytywany dyalog, wyjęty ze sztuki.

— Wierzaj mi — mówiła Chryzantema — im większe jest poświęcenie kobiety dla tego, którego jej serce wybrało... im więcej dowodów może mu złożyć tego poświęcenia, tem jest ona szczęśliwszą! Dałabym chętnie życie za ciebie, gdybym tylko wiedziała, że choć kilka chwil po śmierci będę czuć to szczęście, jakie każde poświęcenie sprawia kobiecie.

— Twoje słowa sprawiają mi dziwne złudzenie. Zdaje mi się, że nie żyję na jawie, że pogrążony we śnie słyszę słowa nadziem-

skiej istoty, na które odpowiedzieć nie mogę. Głos nie chce wyjść z sennej krtani... silę się napróżno, jak człowiek niemy!

— Cóż ci ten głos odbiera! Czy afazya?

Srebrny, metaliczny śmiech artystki zabrzmiał jak trel skowronka.

— Tak jest — odparł towarzysz Chryzantemy — to afazya, ale afazya myśli.

— Godny politowania z tą afazyą twoją! Gdyby to choć była jaka kobieta, ale błąd krtani, czy tam nieprawidłowa chwilowo funkcya nerwów.

— Ty kończysz wszystko na nerwach.

— A ty tyle mówisz o sercu i duszy!

— Bo chcę cię znudzić, abyś mnie odepchnęła!

— Przeciwnie, zaostrza to tylko moją ciekawość o dalsze losy tych niewidomych potęg moralnych.

— Bez takich podstaw o prawdziwem szczęściu nawet myśleć nie można.

— Któż ci te podstawy odbiera?

— Nasze wspólne położenie. Ja cię kocham, a ty jesteś mężatką.

— Mogę się rozwieść!...

— Otóż chodzi mi o drogę, która do tego prowadzi, a nie mogę jej znaleźć. Mąż twój taki zacny, tak mi ufa, jak przyjacielowi...

— Jesteś nieoceniony... można rzeczywiście szaleć za tobą! W dziesięciu tysiącach sztuk scenicznych figuruje przyjaciel męża, w którym się żona kocha... miliony widzów widziało i oklaskało te sztuki... połowa z nich uczy się ze sceny takiego kultu przyjaźni domowej i z sukcesem go dalej propaguje, a ty, mistrzu krytyki tak oględnej, jesteś dla siebie srogim i nieubłaganym.

Zaszeleściały jedwab i koronki. Chryzantema widocznie postąpiła kilka kroków naprzód.

— Nie zapominaj jednak, że ta srogość twoja udręcza także i tę, która cię nadewszystko kocha... za tobą szaleje!

Głos Chryzantemy brzmiał tutaj ciszej, jakby był koronkami przysłonięty.

Nastąpiła pauza.

— Kocham cię, kocham nadewszystko, nad życie moje — mówił Orest głosem również przytłumionym, jakby przesianym przez koronki. — Kocham cię najdroższa moja... ale pomimo tej gorącej miłości mojej...

— Znowu afazya?

— Tak, afazya, skoro pomyślę, że muszę kłamać, oszukiwać, zdradzać... zacnego człowieka!

— O jakże miły jesteś z tymi skrupułami... zaprawdę można szaleć za tobą, jak szalały nimfy za owym śpiącym Endymionem, zanim się zbudził i za niemi poszedł! Zbudź się, miły pasterzu!

— Tak mię babka wychowała!

— Okrutna, zrobiła cię anachronizmem między nami!

Zadługo trwał ten dyalog dla Oriona; odchrząknął i wszedł do buduaru.

— Za długo było mi czekać na koniec tej sceny — rzekł z uśmiechem — a sądzę że nie dla wszystkich będzie ona ciekawą.

Na chwilę zapanowało milczenie. Chryzan-

tema bawiła się szarfą koronkową i nieznacznie patrzyła na Oresta. Orest miał oczy spuszczone na dół, i zdawało się, że się namyśla nad czemś.

Zaniepokoiło to Chryzantemę.

— Dobrze żeś przyszedł — zawołała z ożywieniem — bo pan Orest, chociaż był tylko w roli aktora, zaczął mię już nudzić. Nie wróżę wielkiego powodzenia tej komedyi rozwodowej.

Pan Orest uśmiechnął się, jak manekin po nakręceniu sprężyny.

— To już rzecz nie moja — zawołał Orion, podając rękę panu Orestowi — dla mnie wystarcza, gdy mogę odpędzić niemiłe myśli moje.

— Niemiłe myśli? — powtórzyła Chryzantema.

— Człowiek jest póty spokojny i szczęśliwy, póki ludziom wierzy. Jak się raz ta wiara zachwieje, jak podejrzenia jedne za drugiemi zaczną się cisnąć do mózgu, to wtedy głowa pęka z bólu!

Stanął mu przed oczyma sklep towarów wysortowanych.

— Najlepiej nie podejrzewać — szepnęła z cicha Chryzantema.

— Niepodejrzewać! gdyby to można rozkazać sobie, jeżeli są na to dowody, a przynajmniej poszlaki.

— Od poszlak do dowodów jest bardzo daleko. Mogą być tak łudzące pozory...

— Właśnie to jest rzecz najgłupsza, jeżeli się dręczyć trzeba pozorami, których za dowody wziąć nie można!

— Najlepiej wtedy o nich nie myśleć.

— Nie sztuka tak mówić, ale trzeba być w tem osobiście interesowanym... Czy pan tego nie uznajesz, panie Oreście?

Orest, który w tej chwili zajęty był przeglądaniem albumu, spojrzał na Oriona z uwagą.

— Przyznaję — odpowiedział z kurczowym uśmiechem — że podejrzenia są stokroć gorsze, niżeli sama świadomość faktu. Dlatego lepiej jest do źródła prawdy dotrzeć, niżeli dręczyć

się, jak się dręczy człowiek we śnie zawieszony nad przepaścią!

Rozśmiał się Orion.

— Dobrześ pan powiedział, ale obraz niezbyt zachęcający. Człowiek ma zmysł zachowawczy, chciałby się choć chwil kilka zatrzymać nad brzegiem tej przepaści, bo wie, że przepaść ta jest dla niego śmiercią!... Ale dosyć już tego. Kilka godzin przebyłem w atmosferze mar złowrogich! Byłem prawie pewny, że mię oszukują, okradają... a wchodząc tu, chcę to wszystko za sobą zostawić. Bez wiary i zaufania w ludzi żyć nie można! Nieprawdaż, panie Oreście?

Orest rozłamał ręką fotografię.

— Jesteś dzisiaj niegościnny — ozwała się z uśmiechem Chryzantema — do naszej wesołej atmosfery wnosisz jakieś mary niepotrzebne.

— To prawda, więc koniec temu.

Sięgając do bocznej kieszeni, spostrzegł Orion, że jest tam owa szpilka brylantowa, przeznaczona dla zarządcy magazynu. Przyszło mu właśnie na myśl, aby tę szpilkę podarować

panu Orestowi, za jego przychylność dla artystki. Chodziło tylko o to, aby to zrobić w sposób delikatny. Zdawało mu się, że go znalazł.

— Widzę u pana śliczną szpilkę — rzekł dyplomatycznie — co ona przedstawia?

— To kamea — odpowiedział pan Orest.

— Kamea stara i prawdziwa, niezawodnie posiada wartość znaczną. Właśnie kupiłem sobie wczoraj szpilkę, ale pańska mnie się lepiej podoba. Możebyśmy się zamienili?

Orion był pewny, że brylant miał nieporównanie większą wartość. Otworzył jedwabny futeralik.

— To brylant pierwszej wody — ozwał się Orest — przewyższa wartość mojej kamei.

— Pan mówisz to z grzeczności, w przyjaźni rachunków niema.

— Słusznie mówi Orion — wtrąciła Chryzantema — spróbujmy, jak ta zamiana wygląda.

I szybkim ruchem ręki wyjęła kameę, a natomiast zatknęła szpilkę brylantową.

— Jesteście teraz jak para zaręczona — dodała z uroczym uśmiechem.

— Ja z mojej strony wiary dotrzymam — rzekł zadowolony Orion — a sądzę, że i pan Orest...

Tu ozwał się dzwonek, który nowego gościa zapowiedział.

X.

Jakkolwiek przygoda w magazynie towarów wysortowanych przeszła bez żadnych większych skutków, mimo to zostały po niej pewne podejrzenia, których niczem nie można było uchylić. Wykryły się pomyłki, które wyjaśniono pośpiechem, brakujące na wystawie towary znalazły się na innych półkach. Oficyalnie stwierdzono porządek, rachunki zgadzały się co do ułamków, ale rozbudzone podejrzenia zostały.

Podejrzenia te prześladowały teraz Oriona. Nie mógł się ich pozbyć. Nachodziły go we dnie i w nocy, a nawet wtedy, gdy w buduarze recytowała Chryzantema swoje role a Orest je poprawiał.

Sprowadzony na drogę podejrzeń, szedł Orion coraz dalej tą drogą. O niezwykłych go-

dzinach zwiedzał jeden magazyn i drugi, trapiony niepokojem, że go kradną i oszukują.

Do tego przyłączył się fakt drugi. W sklepie żałobnym napotkał widoczną defraudacyę. Okazało się, że jeden z młodych pomocników ubierał pewną wdowę wraz z dziećmi w żałobne szaty, rzekomo na kredyt. Wdowa zaś twierdziła, że rachunki swoje regularnie płaci. Znalazły się jeszcze w książkach i w kasie pewne nieprawidłowości, które go przekonały, że jest systematycznie okradany.

Wszystko to zaostrzyło w nim zmysł bystrej obserwacyi. Zaczął oba magazyny obserwować z czujnością straży nieprzyjacielskiej. Ponieważ sam siebie na kilka obserwujących placówek podzielić nie mógł, przybrał więc do pomocy kilku stosownych pomocników, którymi oba magazyny swoje obsaczył.

Nowy ten wynalazek bawił go nawet teraz, jak każda wojna bawi żołnierza. Ludziom, którym dotąd ufał, wypowiedział teraz wojnę. Wysuwał przeciw nim tyralierkę i ustawiał straże. Codziennie rozdawał hasła, a z niecier-

pliwością czekał raportów. Była to gra, podobna do gry w szachy lub w karty. Oczekiwał wygranej lnb przegranej. Stawało się to nawet codzienną jego rozrywką.

W tej rozrywce wzmagał się jego zmysł obserwacyjny coraz więcej. Od obu magazynów przeniósł go i na swój dom. Zaczął spostrzegać, że i tutaj jest pole dla jego podejrzeń, że służba go kradnie, a dostawcy potrzeb domowych oszukują. Dziwił się teraz, że pierwej tego nie widział i że ludziom zanadto ufał. Zaczął się pilnie po domu rozpatrywać.

W mózgu jego nastąpiło dziwne podrażnienie. Jakoś lepiej widział i słyszał. Słowa na które dawniej nie zważał, zostawały mu teraz dłużej w pamięci. Obracał je na wszystkie strony i nad niemi się zastanawiał. Ludzi, których zaledwie znał z widzenia, zaczął teraz bliżej obserwować. Nie obojętnym był mu teraz każdy gość, który dom jego nawiedzał. Pytał się, co go tu sprowadza i jaki ma interes.

A goście jego dawali mu wiele do myślenia. Wprawdzie byli między nimi tacy, którym cho-

dziło o to, aby dobrze zjeść i wypić, innym podobała się szermierka wspólnej rozmowy i wspólna zabawa, byli jednak i tacy, którzy po za tem wszystkiem jakby czegoś innego upatrywali.

Salon Chryzantemy przedstawiał często dziwny widok. Napełniony po brzegi, podobny był do wielkiego mrowiska, w którem był ruch nieustanny. Śpiewano wesołe piosnki, deklamowano, spierano się o różne zagadnienia, będące na dobie. Było to towarzystwo najczęściej z samych mężczyzn złożone, w którem jedynie Chryzantema królowała. Czasem tylko towarzyszyło jej kilka gwiazd scenicznych, albo żon artystów. Rozmowa wtedy najczęściej miała pozory flirtu, przytem nie liczono się ze słowami.

Osobliwie starsi protektorowie sztuki pozwalali sobie takiej biesiady deserowej po zjedzonych obfitych obiadach. Młodzi ograniczali się na wymownych spojrzeniach i źle tłumionych westchnieniach.

Flirt taki przybierał czasem pozory dalej sięgające. Padały słowa, które nie miały być

słyszane przez wszystkich, a towarzyszyły im giesty, które także nie wszyscy mieli widzieć.

Orion słyszał jedne a widział drugie. Dawniej niewiele zważał na to. W zmienionej pozycyi, otoczywszy się nagle zbytkiem i wszedłszy przeto w koła większego towarzystwa, mniemał, że jak to nowe towarzystwo, tak i on na wiele rzeczy powinien przez palce patrzeć, zadawalając się samym splendorem takiego towarzystwa.

To też długo patrzył przez palce, a słowa, które słyszał, puszczał mimo uszu.

Teraz wydało mu się to inaczej. Obył się już w nowem towarzystwie i czuł się w niem nietylko równouprawnionym, ale nawet na niektórych z góry patrzył. Nabrał odwagi sprzeczać się z tymi, których dotąd uważał za powagi.

Na tem zajętem teraz stanowisku wiele rzeczy mu się nie podobało. Nie podobała mu się zbytnia poufałość, z jaką niektórzy goście rozmawiali z Chryzantemą. Zaczął się nad tem zastanawiać, skąd się ta poufałość bierze. Czy

to nie żona jego daje powód do takiego zbliżenia się?

Niemniej gniewały go pewne rozmowy, wywołane przedstawieniem tej lub owej sztuki na scenie. Nieznośnym był dla niego pewien młody literat, współpracownik pisma „Przyszłość.“ W swoich poglądach wywracał on resztki podwalin, na których dotąd opierało się społeczeństwo; w ferworze sprzeczki o nową organizacyę społeczeństwa postawił on sztandar bezwzględnej wolności dla wszystkich, równouprawnienie wszystkich dla wszystkiego. Prawo dla bytu, dla pracy, dla uciech życiowych, dla porywów cnót i temperamentu, a nawet dla zdrożności i zbrodni, jeżeli organizm osobnika tego wymaga.

— Jakto — krzyknął Orion — jeżeli się żona cudza komu podoba?

— W pewnych warunkach — zaczął odpowiedź młody apostoł.

— Tak pan mówisz — przerwał w gniewie Orion — gdy masz lat dwadzieścia kilka i jesteś bezżenny! Interes własny tak każe

mówić, ale jeżeli się ożenisz, to zmienisz swoją filozofię bezwzględnej wolności, a towar zakazany obłożysz karą kontrabandy!

— Przeciwnie — wtrącił humorysta nadworny — zostanie wierny poglądom swoim, gdy się ożeni ze starą!

Śmiech powszechny zagłuszył dalsze objekcye Oriona i apostoła przyszłości. Najbliższym tylko, którzy go słyszeć mogli, wykładał Orion teoryę własności, której dotąd jeszcze strzegły ustawy. Mówił, że jest właścicielem dwóch magazynów i ma żonę, która jest także jego własnością. Jeżeli oszustów i złodziejów magazynów wolno mu ścigać, dlaczego miałby przez palce patrzeć na tych, którzy mu prawa jego do żony zaprzeczają?

Na słowa tak jasne jak słońce odpowiedziano mu niewyraźnym uśmiechem, co go tak rozgniewało, że wcześnie salon opuścił i do swego gabinetu się udał.

— Wszyscy złodzieje i oszuści — rzekł do siebie, zamykając drzwi za sobą — trzeba się mieć na ostrożności.

XI.

Od tego dnia, jak słusznie spostrzegła Chryzantema, zmienił się Orion do niepoznania.

Był mrukliwy, żonie odpowiadał zwykle z przekąsem. Przy śniadaniu i obiedzie siedział zamyślony lub ganił wszystkie potrawy. Gdy żona czytała mu sprawozdanie Oresta z wczorajszego swego występu, odpowiadał szydersko, że publiczność głupia i że za drogo płaci za błazeństwa, które i trzech groszy nie warte.

— Przecież teatr jest sztuką — zauważyła ze słodyczą Chryzantema.

— Za wiele już tego teatru — ofuknął Oririon — na scenie teatr, w magazynach teatr, w domu teatr! Aktor, aktorka, subjekci, prokurzyści, a nawet żony doskonale grają swoje sztuki! W salonie rozmawia się, jakby wszyscy

romansowali z sobą, a człowiek nie może rozróżnić, co jest grą a co prawdą! Bohaterowie i bohaterki z komedyi przenoszą się w progi rodzinne, do buduarów i magazynów! I po cóż to wymyślać takie rzeczy, które potem jak chwast rozpleniają się po naszych domach... Ja sam jestem już tak oszołomiony, że nie wiem, kiedy ty grasz a kiedy prawdę mówisz!

Chryzantema rozśmiała i pogłaskała białą rączką widniejącą już łysinę męża.

— To ta łysinka temu winna — rzekła — że tak mówisz; gdyś miał bujną czuprynę, to tak mawiałeś jak ten młody literat.

— Widać, że młodzi mają u ciebie więcej łaski a tak zwane prawo temperamentu pozwala z tego korzystać!

— Trzeba się z losem swoim pogodzić — odcięła figlarnie — jeżeli się żona razem z mężem nie starzeje.

Uderzyła go po ręce i wyszła szybko do swoich pokojów, skąd ozwał się dzwonek zwiastujący gościa.

Po wyjściu żony coraz czarniejsze myśli na-

padały Oriona. Widział się zewsząd otoczony zdradą, przeniewierstwem i złodziejami. Zaciskał pięści i groził mniemanym nieprzyjaciołom. Przysięgał, że ich w proch zgniecie, że ich pozabija, jeżeli którego na uczynku schwyta.

Teraz chodziło mu najbardziej o to schwytanie. Podejrzywał każdego i patrzył na niego jak na ukrytego złoczyńcę. W salonie żony śledził wszystkich, chwytał ich słowa i spojrzenia. Chryzantemie czynił często wymówki, że na tego niewłaściwie spojrzała a owego niepotrzebnie wachlarzem trąciła.

Gniewał się także na nią, że ten zanadto do niej się zbliżał, a ów natrętnie się uśmiechał. Odgrażał się często, że wie o wszystkiem i że czeka tylko sposobności, aby odkryć światu, co się nietylko w jego magazynach, ale i w jego domu dzieje.

Chryzantema postanowiła tym wymówkom koniec położyć. Pewnego dnia zawołała znakomitą doktorkę, z którą łączyły ją stosunki przyjaźni. Doktorka była psychiatrą i znana w stolicy jako znakomitość.

Po dłuższej konferencyi wprowadziła doktorkę do gabinetu męża.

Orion siedział w fotelu z głową opartą na dłoniach. Cerę miał zżółkłą, oczy podsiniałe, jakby w nocy nie spał.

— Pani Lucyda chce cię widzieć — rzekła Chryzantema — i o twoje zdrowie zapytać.

— Jestem zdrów — odparł Orion, podając rękę doktorce — możesz pani zaraz zbadać tętno.

Wszech nauk lekarka usiadła.

— Tętno nie zawsze daje miarę choroby — odrzekła — a po tem, co mi pani Chryzantema powiedziała, widzę, że pewna niedobra choroba zbliża się do pana.

— Zapewne mówiła o tych złodziejach, przeniewiercach i defraudantach, którzy mię zewsząd otaczają i dybią na mój spokój.

— Właśnie określiłeś pan swoją chorobę, a dyagnoza jest już bardzo łatwa. Choroba to niedobra, ale w początkach można ją wyleczyć. Nazywa się manią prześladowczą!

— Mania prześladowcza?

— Jest ona skutkiem rozstroju nerwów. Choremu wydaje się w takim razie, że wszyscy dybią na niego, nastają na jego majątek, że własne dzieci chcą go otruć, a wierna żona zdradza go. W każdym widzi złoczyńcę, a przyjaciela podejrzywa o złe zamiary.

Orion spojrzał zdziwiony na Chryzantemę, która pobłażliwie uśmiechnęła się.

— Przecież, jeżeli są poszlaki lub dowody... — rzekł z pewną irytacyą.

— Choroba ta — ciągnęła dalej doktorka — nie ma z rzeczywistością żadnej styczności. Urojenia chorego są zwykłym produktem nieprawidłowych funkcyi nerwów. Przedewszystkiem trzeba nerwy wzmocnić, a gdy to nastąpi, znikną obawy, podejrzenia, halucynacye i tym podobne zboczenia umysłowe.

— Jakież na to lekarstwo?

— Najpierw żadnych podejrzeń, żadnych oskarżeń i wymówek — słowem spokój, wiara i zaufanie... a do tego zapiszę jeszcze stosowne krople.

Chryzantema uderzyła pieszczotliwie chorego po ręce.

— Pamiętaj teraz — rzekła — co ci pani Lucyda zaordynowała!

Konferencya skończyła się, ale choroba pacyenta dziwnym sposobem wzmogła się jeszcze więcej. Po wyjściu pani Lucydy usłyszał Orion w przedpokoju głos służącego, który dla Chryzantemy bukiet przyniósł. Był to służący Oresta.

Nagle zaświtało Orionowi w głowie. Nikt nie był bliższym Chryzantemy od Oresta. Jeżeli Chryzantema go zdradza, to dla niego. Wszak Orest dla jego pięknych oczu nie czynił tego, co czyni.

Była to myśl bardzo prosta, ale dlaczego dopiero teraz do głowy mu przyszła, nie mógł odpowiedzieć; chyba dlatego, że miał go za przyjaciela!

— Ha, zdrajco! — zawołał, ściskając pięści — jam ciebie miał za przyjaciela i dlatego tak długo ukrywałeś się przede mną, jak się ukrywa na scenie każdy przyjaciel domowy.

Teraz dopiero zaczął sobie wszystko przypominać, kiedy bywał, co mówił, jak na Chryzantemę patrzył, i jak ona do niego się uśmiechała. Przypomniał sobie wszystkie artykuły, które o niej pisał! Było w nich tyle uwielbienia, tyle zachwytu, ile zwykły recenzent nie ekspensuje. A czynił to tak bezinteresownie, że trudno uwierzyć, aby za to z innej strony nie był wynagrodzony!...

Myśl ta dziwna snuła się coraz więcej, coraz dalej, a gdy Chryzantema zaordynowane lekarstwo przyniosła i z niego kilkanaście kropel w łyżeczce mu podała, był już pewny, że nikt inny, jak tylko Orest jest kochankiem jego żony.

— Czy ci lepiej po tych kroplach? — zapytała Chryzantema.

— Jest mi tak dobrze jak nigdy — odpowiedział Orion — wyborne lekarstwo!

XII.

Wizyta doktorki-psychiatry i zalecone przez nią lekarstwo sprawiły widoczny skutek. Chciał wbrew twierdzeniom doktorki dowieść, że nie jest chory na tak zwaną manię prześladowczą. Chodziło tylko o dowód i o tem teraz tylko myślał.

Z gorączką zaczął teraz szukać tego dowodu. Miał już przekonanie niezbite, że Orest jest kochankiem Chryzantemy, trzeba było tylko poprzeć to dowodem niezbitym. Przyśpieszonym krokiem zdążał po te dowody, nietylko zbierał słówka-półsłówka zakochanych w swojej pamięci, ale nawet i w pieszczotach żony, które mu się teraz częściej dostawały, widział niejako materyał dowodowy. Orest z coraz większą bojaźnią zbliżał się do niego, jakby prze-

czuwał, że już wie o wszystkiem. Miał oczy błędne i często spuszczał je na ziemię. Na Chryzantemę coraz mniej patrzał, albo tylko ukradkiem. Byli już oboje widocznie w porozumieniu, a w salonie udawali obojętnych. Co gorsza, Chryzantema mówiąc z mężem o Oreście, przyczepiła jakieś słowo na jego niekorzyść. Orion rozumiał teraz tę dyplomacyę kobiecą i tem goręcej, jak wyżeł ścigał mniemanego nieprzyjaciela.

Pewnego dnia było u Chryzantemy kilku gości. Chryzantema była w niezwykłym humorze, bo wczoraj po przedstawieniu w teatrze otrzymała od „wielbicieli talentu“ przepyszne brylanty.

Mówiono o tych brylantach, zgadywano ich cenę.

Chryzantema rozśmiała się wesoło.

— Te brylanty łatwo ocenić — rzekła z uśmiechem figlarnym — ale takie brylanty są nieocenione!

Tu wskazała na sprawozdanie Oresta w „Wielkim dzienniku“ i spojrzała na autora.

Ta gra słów ożywiła jeszcze więcej rozmowę, a szczęśliwy sprawozdawca spojrzał z bojaźnią na Oriona, jak te słowa Chryzantemy przyjął. Orion zapanował nad sobą i spokojnie uśmiechnął się do przyjaciela.

Spokój ten nie trwał długo. Goście rozeszli się, a Chryzantema zebrała się także, aby wyjść na miasto po sprawunki.

Po jej wyjściu wsunął się Orion cicho do buduaru i zaczął się na wszystkie strony bacznie rozglądać. Przewracał koperty starych listów, otwierał książki i wysuwał rozmaite szufladki.

Nie znalazł nic, coby mogło być jakimkolwiek dowodem. Były wprawdzie role Chryzantemy poprawiane tu i owdzie ręką Oresta, ale w poprawkach tych nie było nic podejrzanego.

Z buduaru wszedł do przedpokoju, ale i tam nic nie znalazł. Otworzył drzwi na schody i tam na trzecim schodzie obaczył pomięty zwitek papieru. Prawdopodobnie ktoś z gości wyrzucił go przypadkiem z kieszeni. Podniósł go ostrożnie i wziął z sobą.

W gabinecie zaczął mu się bliżej przypatrywać. Była to kartka podłużna, odcięta z jakiegoś listu, który miał woń perfumy dobrze mu znanej. Na skrawku papieru było kilka wyrazów napisanych ręką Chryzantemy. Z zapartym oddechem przyłożył do oczu i zaczął czytać:

„...Faust zwyciężył — brylanty mają blask demoniczny. Za godzinę z pracowni Małgorzaty przy ulicy Słonecznej wyjdzie

Małgorzata!“

Orionowi uderzyła krew do głowy. W pierwszej chwili nie wiedział, czy ma się cieszyć, że znalazł wreszcie to, czego pragnął, czy rozpaczać, że ma dowód niewierności żony.

Pomieszały się razem dwa te uczucia i stworzyły jakieś słodkie pragnienie piekielnej zemsty. Chodziło tylko, na kim ma się zemścić.

Nie myślał nad tem długo. Nikt inny tylko Orest był tym zdrajcą. Brylantami nazwała jego sprawozdanie z gry wczorajszej, a te brylanty zwyciężyły ją ostatecznie. Któżby zresztą mógł być inny? Było ich wprawdzie kilku

w salonie Chryzantemy, ale prócz niego nie był żaden stosowny do tej roli. Byli to ludzie starsi i należeli przeważnie do tak zwanych protektorów sztuki. Był dyrektor ubezpieczeń małżeństw szczęśliwych, kulawy i ospowaty. Zyzooki bankier Pollux interesował się teatrem, a nawet często wyprawiał dla nich lukullusowe przyjęcia w swojej willi zamiejskiej, ale był to człowiek stary i miał tylko szczęście na giełdzie. Dostawca konserwów dla wojska i fabrykant melinitu nie wchodzili wcale w rachunek. Jako ludzie bogaci, uważali za stosowne uprawiać kult sztuki i od czasu do czasu pojawiać się za kulisami, jak to moda nakazywała.

Tylko Orest mógł być szczęśliwym posiadaczem tej kartki, tylko on w roztargnieniu mógł ją uronić na schodach.

Krew w nim zawrzała.

— Bezczelna defraudacya — krzyknął nieszczęśliwy — defraudacya w magazynach, defraudacya w domu. Ale biada wam defraudanci!

Wziął rewolwer, wziął sztylet obosieczny,

szukał jeszcze noża, który niedawno kupił na wystawie nożowniczej, ale go nie znalazł, musiał się więc zadowolić morderczemi narzędziami, które posiadał, dodawszy do nich laskę z ukrytym puginałem.

I cały drżący wybiegł na ulicę.

Magazyn „Małgorzaty“ znany był w całem mieście. Ubierały się w nim damy wysokiej arystokracyi i damy kameliowe, które miały na to pieniądze. Z tego powodu można było przed tym magazynem widzieć karety ze starymi herbami i wykwintniejsze od nich bez herbów. Liczna liberya otaczała te karety.

Orion łatwo znalazł ten magazyn. Spojrzał na zegarek. Za godzinę miała z niego wyjść Chryzantema, która wczoraj była Małgorzatą. Miał jeszcze dosyć czasu. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął się po chodniku przechadzać.

Nikt z tłumu nie przeczuwał nawet, że ociera się o człowieka, który miał w tylnej kieszeni surduta rewolwer sześciostrzałowy, na piersiach ukrywał sztylet, a w ręku trzymał

laskę z puginałem. A przecież Orion nie wyglądał tak strasznie. Szedł wolnym krokiem, zatrzymywał się przy każdej wystawie i patrzał nietylko na towary, ale także i na przypięte do nich ceny. Tylko wprawny psycholog mógł dostrzedz ukośne spojrzenia, jakie rzucał na magazyn „Małgorzaty.“ W spojrzeniach tych były groźby śmierci.

Zrazu mierzyły jego kroki dłuższą przestrzeń ulicy. Przestrzeń ta zmniejszała się coraz więcej w miarę posuwającej się skazówki na zegarku, który często z kieszonki wyjmował. W końcu ograniczył się tylko na trzech kamienicach, chodząc tam i napowrót.

Spostrzegł teraz, że między karetami stojącemi przed magazynem „Małgorzaty,“ stoi dobrze mu znana kareta bankiera Polluxa. Olbrzymie kare konie i olbrzymiego wzrostu stangret, to jego dobrzy znajomi, którzy go nieraz wozili do zamiejskich willi bankiera na tak zwane wieczorki kawalerskie. Pałac, w którym oficyalnie bankier mieszkał był w mieście.

Właśnie zatrzymał się na ulicy omnibus i na

chwilę zasłonił widok magazynu „Małgorzaty.“ Orion cofnął się o dwa kroki i widział jak się drzwi magazynu otworzyły a z nich wyszła młoda kobieta w powiewnym płaszczyku. Była to Chryzantema. Powiodła okiem po szerokiej przestrzeni ulicy i szybko wsiadła do karety. Olbrzymie karosze ruszyły szerokim kłusem z miejsca.

Orion stał chwilę jakby nieprzytomny.

— Co to jest? — zapytał głośno — czy to pomyłka? Czy dobrze widziałem? Czy to ona?... Nikt inny!

Przesunął ręką po czole, jakby chciał przyjść do przytomności.

— To od niego brylanty! to ten stary Satyr, no, chyba oszaleć! Ale biada wam.

Skoczył do dorożki, która nadjechała. Wskazał na karetę z karymi końmi.

— Za tą karetą! — krzyknął do woźnicy.

Dorożka pomknęła naprzód.

Zrazu toczyła się kareta przed nim w jednej odległości. Powoli zaczęła dorożka w tyle pozostawać. Wyższej miary karosze i lepszej rasy

unosiły karetę coraz dalej. Zawsze jednak była na widoku a dorożka mogła za nią podążać.

Ucieczka i pościg trwały dosyć długo. Orion miał czas przerzucić w swojej głowie cały szereg różnorodnych myśli. Przypomniał sobie różne słowa i dowcipne aluzye zyzookiego bankiera, jego natarczywe zbliżanie się do Chryzantemy i dwuznaczne koncepty, jakimi ją raczył. Patrzył złowrogo na karetę, przed nim uchodzącą i obmacywał swoje narządzia mordercze.

Tymczasem kareta mijała ulicę po ulicy, wyjechała z miasta i zboczyła na drogę prowadzącą do zamiejskiej willi bankiera.

Krew uderzyła Orionowi do głowy. W tej willi, jakby w mieszkaniu kawalerskiem przyjmował bankier wesołe towarzystwo, w którem i on często się znajdował. Kazał dorożce pędzić co koń wyskoczy, obiecywał sutą zapłatę, ale karosze znacznie wcześniej dotarły do bramy. Brama otworzyła się automatycznie i tak samo zamknęła się za karetą.

W kilka chwil zdążyła dorożka. Orion zadzwonił. Przez okienko wyjrzał odźwierny.

— Pana niema w domu — ozwał się z uśmiechem dwuznacznym.

— Jakto? dopiero co wjechała kareta.

— Konie przejechały się trochę, bo od kilku dni stoją w stajni.

— W karecie była dama...

Odźwierny spojrzał z uwagą na Oriona.

— To żona kamerdynera, którą stangret spotkał w drodze.

— Ależ wziął ją z magazynu „Małgorzaty.“

— Może tam była po sprawunki.

— Kłamiesz, stary!

Odźwierny zatrzasnął okienko i więcej się nie pokazał. Orion stał jakiś czas, dzwonił i pukał, ale napróżno.

Kazał dorożce odjechać na boczną drogę, skąd ukryty za akacyą patrzył na bramę willi. Piekielna furya miotała nim. Od czasu do czasu wyjmował rewolwer, jakby już ujrzał przed sobą nieprzyjaciela. Wysuwał z laski puginał i uśmiechał się do błyszczącej stali.

Leniwo biegły chwile. Patrzał na zegarek i zdawało mu się, że skazówka stoi na miejscu. Potrząsał zegarkiem i przykładał go do ucha, ale zegarek szedł regularnie, mierząc z nieubłaganym spokojem minuty na sekundy.

Brama milczała zamknięta.

Przypomniał sobie, że ogród willi ma tylną furtę, przez którą wchodziły lub wychodziły rozmaite kontrabandy romantycznego bankiera. Kazał dorożce jechać do tej furty i tam znowu czekał.

Po niejakim czasie przyszło mu do głowy, że tymczasem może Małgorzata w karecie oficyalną bramą wyjechać. Wrócił do bramy, a tu zdawało mu się znowu, że Małgorzata w tej chwili mogła mu ujść przez furtkę.

W tej męczarni wzmagała się jego wściekłość. Siły wyczerpywały się... W głowie szumiało...

Kazał dorożce jechać do domu.

XIII.

W domu zastał gościa, który na niego czekał. Był to Orest.

Widok mniemanego do niedawna rywala nie sprawił na nim przykrego wrażenia. Powitał go uprzejmie i zaprosił do gabinetu.

Orest podejrzliwie uśmiechnął się na tę uprzejmość gospodarza. Mimo tej uprzejmości spostrzegł, że był mocno podrażniony. Orion bowiem chwytał gorączkowo coś po powietrzu, jakby chwytał niewidzialne komary.

— Mam z panem do pomówienia w sprawie bardzo ważnej — zaczął Orest po dłuższej pauzie — ale widzę, że może wybrałem chwilę niestosowną. Jeżeli pan pozwoli, to odłożymy tę rozmowę.

— To nic — odparł Orion — i owszem,

trzeba klin klinem wybić, jeżeli, jak pan mówisz, sprawa jest ważna...

— Bardzo ważna... ale właśnie potrzebuję dlatego spokoju i wiele krwi zimnej.

— Krew zimna się znajdzie, gdy będzie potrzeba. Czytałem nawet gdzieś, że za czasów mitologicznych nazywano zemstę zimną potrawą bogów. Zemścić się w gorączce, to rozkosz trwa zbyt krótko. Ale tak z zimną krwią wydobyć puginał z ukrycia i nim...

Tu wyjął z laski stal błyszczącą.

— I nim z zimną krwią i powoli przeszyć po kilkakroć serce nikczemnego zdrajcy...

I wykonał kilka pchnięć tuż w pobliżu Oresta, który zarumienił się lekko, ale się nie cofnął. Orion patrzył na niego jak obłąkany.

— I cóż pan na to? — zapytał.

— Na to — odparł spokojnie Orest — mogę tylko to odpowiedzieć, że nie wiem, który byłby godniejszy politowania, czy tryumfujący mściciel, czy pomszczona ofiara?

— Jak to pan rozumiesz?

— Są wykroczenia, a nawet i zbrodnie,

przy których złoczyńca sam pragnie śmierci a tego, kto go zabija, ma nawet za dobroczyńcę!

Orion zaśmiał się chrypliwym głosem.

— Pan mówisz tak, jak to pisałeś kiedyś o tragedyi, czy dramacie. To wygląda tak w teatrze, ale w życiu, gdzie są ludzie zwyczajni, ma się rzecz inaczej. Ręczę panu, że bohater waszej tragedyi, gdybym do niego zbliżył się z tym szpikulcem, schowałby się pod sofę, chociażby na bardzo nizkich nóżkach stała!

Orest uśmiechnął się z ironią.

— Pan mówisz o zwykłych ludziach w zwykłych warunkach. Bohaterów zaś tworzą niezwykłe sytuacye.

— Złodziej jest zawsze złodziejem, przeniewierca przeniewiercą, chociażby zapłacony adwokat Bóg wie, jak go bronił!

Orest odetchnął głęboko.

— Widzę, że pan nie byłbyś sędzią wyrozumiałym, a przecież pewne wyjątkowe warunki zmniejszają znacznie winę podsądnych.

— To właśnie jest zła strona kodeksu, już lepiej podobają mi się stare, mojżeszowe paragrafy: „ząb za ząb, oko za oko!“

Nastąpiła pauza. Orest patrzył zamyślony w ziemię, a Orion przeglądał się w błyszczącej stali puginału.

— To też całe nieszczęście w dzisiejszem społeczeństwie, że kodeks nasz zanadto łagodnie karze — mówił jakby do siebie. — W zbrodniarzu, w złodzieju, w przeniewiercy widzi jakieś ukryte psychologiczne, czy tam nerwowe zboczenia, i feruje wyroki niewinności. A jabym radził wszystkich wywieszać, wystrzelać, lub zgilotynować, stosownie do jego narodowości!

— Chciej pan jednak przypuścić, że w ustroju człowieka powstają czasem pewne zaburzenia bez jego woli, wywołane pewnym przypadkiem, których on opanować nie może. Zrosły się one z jego życiem i nie może się ich pozbyć, nie pozbywszy się zarazem i swego życia.

— Jakto? Jeżeli w moim magazynie ręka

subjekta zaswędzi do kasy, więc musi koniecznie do tej kasy sięgnąć i z niej pieniądze ukraść? Jeżeli gość, zaproszony do mego domu, spojrzy pożądliwie na moją żonę i ją na niewłaściwe drogi sprowadzić usiłuje... to ja mam tym obydwom złodziejom wszystko darować dlatego, że w ustroju ich nerwów nastąpiło, jak pan nazywasz, jakieś zaburzenie? Cóż w takim razie stanie się z prawem własności, które i tak już na włosku wisi a do którego wciskają się nasi prokurenci, subjekci i t. d... A przebąkują nawet o prawie namiętności, to jest pożądliwości do cudzych żon i cudzych mężów!

Orest wstał i kilka razy przeszedł się po pokoju. Zatrzymał się przed Orionem. Głęboki smutek wybił się na jego twarzy.

— Zły czas wybrałem dla mojej ważnej sprawy — rzekł z melancholijnym uśmiechem.

— To nic — odpowiedział również z uśmiechem Orion — możesz pan mówić. Ja już zrobiłem sobie folgę tem, co powiedziałem. Mogę słuchać spokojniej.

— Wyobraź pan sobie, że masz przed sobą zbrodniarza, złoczyńcę, czy przeniewiercę, co uczuł pożądliwość do własności cudzej, ale nie chce jej przyswoić sobie w sposób nielegalny.

Orion spojrzał na mówiącego zdziwiony.

— Pan pożądałeś cudzej własności? — zapytał.

— Powiedziano mi niedawno, że jestem anachronizmem. Widzę sam, że to prawda. Wychowała mię babka zdala od dzisiejszych prądów. Nie mogę się z nimi pogodzić, ani ich zwalczyć. Czuję jednak, że jestem człowiekiem i że podlegam wrażeniom, jakim od wieków podlegali ludzie. Wrażenia te mają zawsze jednę i tę samą siłę, chociaż prądy wieków inaczej je zabarwiają...

— Do czegóż to zmierza?

— Uległem i ja takiemu wrażeniu, w szlachetnem tego słowa znaczeniu...

— Czy obaczyłeś pan złoto za oknem wystawowem bankiera?

— Obaczyłem kobietę, dla której zapłoną-

łem ogniem miłości, nie wiedząc wcale że ona jest mężatką.

— I cóż pan z nią zrobiłeś?

— Kochałem ją, jak się kocha siostrę lub matkę...

— Czy taka stara?

— Bardzo młoda.

— Cóż ona?

— Kocha mię miłością wyjątkową, o jakiej prawie nie miałem wyobrażenia. Powtarza mi ciągle, że oboje byliśmy przeznaczeni dla siebie, że tylko przypadkiem dostała się drugiemu.

— Cóż z tym przypadkiem teraz zrobić?

— Wiem, że miłość nasza jest zdrożna, a to sprawia mi męczarnię niewypowiedzianą. Postanowiłem położyć kres tym męczarniom i stanąć jako winowajca przed jej mężem.

— I cóż pan chcesz mu powiedzieć?

— Aby się swojej żony zrzekł legalnie, jeżeli już i tak jest dla niego straconą. Może się z nią rozwieść!

— O kimże pan mówisz właściwie?

— O pani... o Chryzantemie.

Dziki ogień strzelił z oczu Oriona.

Spazmatycznie schwycił za sztylet, ukryty na piersiach, ale palce jego zaplątały się między breloki, którymi automatycznie zaczął się bawić.

— Więc pan kochasz Chryzantemę? — zapytał.

— Kocham i z tej miłości nie mogę się uleczyć, chociaż nad sobą usilnie pracowałem. Dłużej zaś okłamywać i potajemnie zdradzać jej męża nie chcę i nie mogę!

— A Chryzantema?

— Kocha mię bez granic!

Ręka szukająca sztyletu oderwała się od breloków i podniosła do góry. Dziki płomień oczu złagodniał w wyraz przyjaznego politowania... Orion rzucił się na szyję Oresta.

— O, mój zacny przyjacielu, towarzyszu niedoli! — zawołał z rozczuleniem, przyciskając zdziwionego rywala do siebie.

— Mój zacny i drogi! — szlochał mu do ucha — obaj jedziemy na jednym wózku!...

Przybywasz dzisiaj do mnie jak Habakuk z garnkiem mięsa do jaskini Daniela, skazanego na pożarcie przez dzikie zwierzęta! Jest to dla mnie prawdziwa biesiada mieć w mojej jaskini towarzysza niedoli!... Zacny młodzieńcze, czy potrafisz cierpieć wraz ze mną, jak ja teraz cierpię?

Orest zdziwiony wywinął się z objęć Oriona.

— Czy ty wiesz, że ona ani mnie, ani ciebie nie kocha?

Orest patrzył na Oriona, jak na waryata.

— Nie kochała mnie, ale nie kochała także i ciebie! — krzyknął Orion z szatańską radością.

— Nie kochała? — powtórzył blednąc Orest.

— Ona kocha Polluksa.

Orest był już pewny, że Orion zwaryował. Smutno spojrzał na ofiarę swojej miłości.

— Tak — krzyczał gwałtownie Orion — z zyzookim Polluksem ma romans! Dał jej wczoraj brylanty, a za te brylanty pojechała podziękować mu ukradkiem do jego willi zamiejskiej... Nie wierzysz?... To masz jej pismo własnoręczne!

Orest chwycił podaną kartkę i zaczął czytać. Zbladł, usta mu zadrgały.

— To być nie może! — krzyknął.

— Tak, ona w tej chwili z nim razem, sam na sam!

— Nie, to być nie może! Ona z Polluksem?

— Sam ją widziałem! Wyszła z magazynu Małgorzaty i siadła do karety Polluksa, którą po nią przysłał! Skoczyłem do dorożki i goniłem ją aż do bramy willi. Odźwierny nie chciał mię puścić!

Orest chwiał się na nogach. Na jego skroniach wyprężyły się żyły.

— Patrz... wziąłem z sobą rewolwer, sztylet i oto ten puginał ukryty w lasce. Chciałem tego zyzookiego zastrzelić, zasztyletować i jak kuropatwę na rożen nadziać... Ale bankier zamknął bramę!... Nie ujdzie on mojej zemsty! Będzie to dla mnie najwyższą rozkoszą.

Orest drgnął, jakby się ze snu ocknął.

— Zostaw to mnie, zacny przyjacielu — ozwał się ponuro — ja pierwej tę sprawę zbadam, zanim wyrok wykonam.

Orion namyślił się chwilę.

— Jeżeli tego pragniesz — odpowiedział — to dam ci, zacny przyjacielu, ten rewolwer belgijski, ten sztylet hiszpański i laskę z puginałem włoskim.

— Mam broń straszniejszą i nieomylną! — rzekł Orest, zwracając się do drzwi.

— Do zobaczenia, drogi przyjacielu, tworzymy sojusz zaczepno-odporny!

. . . . . .

Po wyjściu Oresta uczuł Orion pewną ulgę. W nieodpartem nieszczęściu swojem znalazł przyjaciela i towarzysza niedoli, który nietylko cierpienia jego, ale i pragnienia zemsty z nim podzielać będzie.

Sojusz ten z mniemanym rywalem przeciw trzeciemu wydał mu się bardzo naturalny. Uznał nawet za stosowne cofnąć się z linii bojowej na stanowisko neutralnego widza. Dawało mu to wolną rękę wejścia do akcyi, gdyby tego wymagała potrzeba. Orest wziął na siebie rolę mściciela, a to mu na razie wystarczało. Postanowił nie zrywać z Chryzan-

temą dotychczasowych stosunków i czekać spokojnie katastrofy.

To uspokoiło go znacznie. A gdy za kilka godzin Chryzantema do gabinetu weszła, nie zdziwił się wcale i prawie żadnego wzruszenia nie okazał.

Chryzantema zapytała go czy krople zażywał i czy się czuje spokojniejszy. Uderzyła go nawet zlekka po ręce, wyrzucając mu, że na nią nie patrzy. Orion mruknął coś pod nosem, ale na nią nie spojrzał.

W kilka dni potem przy śniadaniu czytał w porannym dzienniku dziwną nowinę:

„Wczoraj przed wieczorem — stało w dzienniku — w jednym zacisznych ogrodów przedmieścia, w altanie ocienionej gęsto kwitnącym powojem zaszło ciekawe zdarzenie. Do altany weszła młoda para, zażądawszy czekolady. Wkrótce potem wszedł do ogródka młodzieniec, którego zachowanie się zwróciło uwagę służby. Przechodził się z pewną gorączką po ogródku, zaglądając pilnie do ukrytych w zaroślach altan. W pobliżu jednej z nich usiadł i zażądał

czarnej kawy. Po kilku chwilach usłyszano w przyległej altanie krzyk i hałas. Gdy się służba zbliżyła, ujrzała w altanie leżącego na ziemi bez przytomności młodego człowieka z rozdartym kołnierzem. Dama, która z nim czekoladę piła, znikła, a za nią ulotnił się także i ów nieznajomy, którego służba miała za waryata. Młodzieniec, który odzyskał przytomność i wcale nie był raniony, nazywa się Pilades. Zbiegłego, jak się zdaje waryata, nie ujęto.“

Orion przygryzł wargi aż do krwi, aby nie dać poznać wzruszenia, które go w tej chwili ogarnęło. Spojrzał na Chryzantemę, która spokojnie na sitko nalewała herbatę.

— Czyś czytała „Dziennik poranny?“ — zapytał.

— Czytałam — odpowiedziała spokojnie — czy nie będzie ta herbata za mocna?

I postawiła przed nim filiżankę złoconą, którą bardzo lubił.

— Jak widać... Pilades ma nieszczęście! — mruknął Orion.

— Jeżeli z waryatami ma do czynienia!

Rzekłszy to Chryzantema zajęła się rozebraniem pieczonego kurczęcia, z którego najlepsze cząstki kładła na talerz Oriona.

Orion patrzył na nią i na smaczne kąski, myśląc sobie w duchu:

— Być może, że ona niewinna... że to może moje przywidzenie było.

XIV.

Tego samego dnia nad wieczorem, gdy właśnie Chryzantema podawała Orionowi krople uspokajające, wszedł do gabinetu gość wcale nieznany.

Był to mały człowieczek z olbrzymią głową, o wystającej prawej łopatce. Był w średnim wieku, z ukośnych oczu strzelał spryt niepospolity, a grube usta ruszały się ustawicznie, jakby coś smacznego przeżuwały.

— Jestem Mars Alcybiades — rzekł z nizkim ukłonem — przedstawiam się jako sprawozdawca teatru z „Wielkiego dziennika.“

— A pan Orest? — podjęła Chryzantema.

— Wziął dymisyę i wyjechał w świat daleki. Zapewne do Australii.

Nastąpiło milczenie. Chryzantema przypa-

trywała się etykiecie flaszki z medykamentem, a Orionowi zdawało się, że utracił najlepszego przyjaciela. Posmutniał i głowę spuścił.

— Szkoda go — rzekł po chwili — był to człowiek zacny i nieposzlakowanej prawości. Jeżeli go coś opętało drugiemu krzywdę wyrządzić, to przyszedł do niego i otwarcie mu to zapowiedział. Nie umiał kłamać a oszukiwać nie chciał. Dlatego zwano go anachronizmem.

— To prawda — rzekł Mars Alcybiades — spóźnił się ze swojem urodzeniem o jakie sto lat! Wierzył w minione ideały i zdawało mu się, że jest bocianem. Dziennik nie wiele zyskał na jego artykułach, bo nie umiał grozić i wyzyskiwać tych, którzy społeczeństwo wyzyskują.

Nastąpiło krótkie milczenie, poczem Mars Alcybiades zaczął:

— Obejmując pióro po Oreście, chcę się z państwem porozumieć. Poprzednikowi memu winna „Oriflama“ swoją sławę i powodzenie. Nie wchodzę w to, jakie procenty z tej sławy

pobierał Orest, ale chciałbym wiedzieć, na jaką ja mogę liczyć ofertę za dalsze podtrzymywanie tej sławy i tego powodzenia.

Orion spojrzał na Chryzantemę.

— Pan Orest był w tym względzie bezinteresowny — zauważyła Chryzantema.

— Wolno mu było, bo na tę bezinteresowność sprzedał kamienicę po swojej babce. Ja zaś mam zaszczyt oznajmić, że jestem właśnie w trakcie nabycia kamieniczki, do czego na razie brak mi kilkunastu tysięcy. Ręka rękę myje, jak mówi dewiza naszych czasów.

Nastąpiło dłuższe milczenie...

— Nie potrzebuję mówić — prawił dalej Mars Alcybiades — że nie dosyć jest posiadać talent pierwszorzędny, ale trzeba kogoś, któryby nieustannie na ten talent zwracał uwagę publiczności i jej zachwyt podtrzymywał. To robi sprawozdawca dziennika, który ma najwięcej czytelników. Od niego to zawisła temperatura oklasków... nie skroplonych potem w monetę... Przyznam się, że mój poprzednik okazał wielki w tym względzie talent, podno-

sząc powodzenie pani do tak wysokiej temperatury. Następca jego dosyć będzie miał do czynienia, aby tę temperaturę utrzymać, bo każdy zapał zwykł ostygać. Jest to nasz wspólny interes.

— Interes jest interesem, jeżeli pan swój zaszczytny zawód za interes uważa — odparł nieco zgryźliwie Orion. — Ja także bezinteresownie nie ubieram nieboszczyków i nie stroję w modną żałobę niepocieszonych wdów i sierot.

— Rozumiemy się.

— Zależy od tego, jakie byłyby pretensye pana?

— Dwadzieścia pięć procent od gaży, a pięćdziesiąt od benefisów i koncertów.

— Ależ to lichwa, panie Alcybiadesie! — krzyknął Orion w gniewie — prócz tego muszę karmić i poić całą czeredę dziennikarzy, artystów i miłośników sceny!

— Ja zaś płacę wysoką dzierżawę mego stanowiska w dzienniku!

Ozwał się dzwonek w przedpokoju do apartamentów Chryzantemy.

Chryzantema wyszła.

Orion podrażniony wysoką ofertą Alcybiadesa, zaczął się niespokojnie przechadzać po pokoju. Gryzł usta i z ukosa zerkał na gościa.

— Dziwi mię to — prawił Alcybiades — że pan, jako urodzony przemysłowiec, nie pojmujesz własnego interesu. Jeżeli ja pewnej dywidendy od talentu żądam, to w moim interesie jest, ażeby ten talent jak najwięcej zarabiał. Czy tak?

— To prawda, ale talent wkłada przecież w interes więcej od pana.

Alcybiades ruszył ramionami.

— To jest moje *minimum*, inaczej rozpoczynam wojnę na całej linii. A wiesz pan, jaka to wojna?... Naprzykład odkrywa się w artystce zmarszczki, jako niestosowne do ról młodych; napomyka się o grze zmanierowanej, o braku dźwięku w głosie i o potrzebie wprowadzenia na scenę sił świeżych i młodych. Potem radzi się jej z ról bohaterek przejść do ról poczciwych matek, lub intrygujących ciotek.

— Ależ moja żona jest młoda... w sam raz do ról kochanek tegoczesnych.

— Uznaję to, ale brak jej pewnego realizmu, w jakim lubują się dzisiaj widzowie...

Chryzantema weszła teraz do gabinetu.

— Przychodzę panu powiedzieć — ozwała się z uśmiechem zadowolenia — że nasz bankier, pan Pollux, z którym właśnie konferowałam, bierze ten interes na siebie i z panem się o to umówi.

— Jestem z tego zadowolony — odparł również z uśmiechem Mars Alcybiades.

— I ja także — dorzucił Orion.

W duchu zaś pomyślał sobie:

— Sprytna kobieta, rozumie interes lepiej ode mnie!... Ona jest niewinną — to przywidziało mi się!

XV.

Po przebytych wzruszeniach uspokoił się Orion pozornie. Podejrzenia dawne i przywidzenia odpędzał od siebie, czem mógł. Zmysł zachowawczy kazał mu wierzyć w to, o czem w każdej gorętszej chwili powątpiewał. Wynajdywał nowe argumenty, jakimi rozpraszać chciał swoje niepokoje. A nawet mu się to udawało.

Niebezpiecznym dla niego był Orest, ale ten zniknął z widowni i trudno było nawet wiedzieć, czy żyje. Pilades miał widocznie nieszczęście do kobiet i prawdopodobnie to w nieszczęście uwierzył. A co do bankiera Polluxa, ten przecież nie wchodził w rachunek. Stary i zyzooki zadowalniał się atmosferą Chryzantemy, rzucał na nią od czasu do czasu czułe, lecz bezsilne spojrzenia, w rozmowie bawił się

w młodego i po tem lekkiem podrażnieniu wracał do kantoru lub na giełdę. Czemuż za te homeopatyczne lekarstwa nie miał płacić, dawać brylantów i urządzać biesiad lukullusowych? Od czegoż artystka, aby nie miała hołdowników, adoratorów i miłośników talentu swego?... A Chryzantema taka sprytna, tak genialnie umie grać role na scenie i w buduarze!... Cóż stąd, jeżeli ten i ów weźmie grę za prawdę i wyobrazi sobie, że jest zdobywcą?... Przecież to nikomu nie szkodzi, chyba temu, który się zawiedzie!

Tak rozumował sobie Orion, odpędzając podejrzenia i halucynacye, które mimo to zawsze go prześladowały. Z każdego ciemniejszego kąta jego domu wyszczerzały jakieś potwory do niego zęby i śmiały się z szatańską radością... Gdy spojrzał na jasne niebo, widział tam dziwnego kształtu chmury, z których jedne były podobne do jego subjektów w obu magazynach, a inne do gości w buduarze Chryzantemy. Jedni i drudzy śmiali się z niego, przypinając sobie ośle uszy...

Orion nie mógł sobie z tem dać rady, a gdy w nocy zamknął oczy, widział swoich nieboszczyków klientów, jak w podartych szatach wstawali z trumien w około niego tańcząc urągali mu!

Ani we dnie ani w nocy nie miał spokoju, a podawane przez Chryzantemę krople nie sprawiały skutku. Z jednej strony obawy i podejrzenia, z drugiej strony brak przekonania, że to, czego się obawiał, jest prawdą, tworzyły w nim bezustanną walkę: czy wierzyć, czy nie wierzyć? Ta walka pochłaniała jego siły, podupadł na zdrowiu, czuł wyraźnie, że szlachetniejsze jego aspiracye powoli zamierają. Coraz więcej skłaniał się do kompromisu z tem, co go teraz otaczało, i silił się nie widzieć tego, co widział.

Na takiej drodze popadał coraz bardziej w pewną apatyę życia, która już tchnęła marazmem. W magazynach patrzył także przez palce, lękając się odkrycia nowych defraudacyi. Wolał o nich nie wiedzieć. Z rachunków jednak przekonywał się, że interes podupadł.

W uczciwość ludzi wierzyć nie mógł a w ich podstęp wierzyć nie chciał. Czuł więc w sobie pewną próżnię, która niczem nie dała się wypełnić. Godziny wydawały mu się daleko dłuższe, niżeli za młodych lat jego. Dawniej nie starczyło mu czasu, aby to i owo zrobić; dziś był czas, ale nie było żadnej roboty.

Razu jednego przyszła mu ochota zajrzeć do szafy z książkami, które mu po dziadku zostały. Szafa była pysznie rzeźbiona, książki miały złocone brzegi, a przez szybę kryształową można było ich tytuły wyczytać.

Ale dzisiaj nikt ich nie czytał, był to raczej materyał muzealny. Zawierał się w nich świat inny od tego, jaki nastał, wyrzucono je z obiegu jako rzeczy przeżyte i niepotrzebne. Wyśmiano te złudzenia bez krwi i ciała, za któremi duch ludzki niegdyś uganiał, a postawiono na ich miejsce zimną, nieubłaganą rzeczywistość, od której znowu ten duch uciekł.

Orion wyjął jedną książkę z brzegu. Były to poezye jego dziada. Zaraz na pierwszych kartkach uczuł jakiś powiew nie z dzisiejszego

świata. Poeta poił się wonią kwiatów, zachwycał blaskiem jutrzenki, a śpiew słowika, którym swoją kochankę do snu kołysał, wprawiał go w ekstazę.

— Tyle przyjemności i tak małym kosztem — pomyślał sobie Orion — dzisiaj na podobną przyjemność trzeba wiele pieniędzy wydać.

I czytał dalej, czytał o rozkoszach miłości, przyjaźni, poświęcenia się, o dobrych uczynkach, za które Pan Bóg z lichwą płaci, i o cnotach wielkich, za które świat wprawdzie nie płaci, ale na nich stoi.

Wszystko to wydało mu się dzisiaj mrzonką, dziecięcem złudzeniem, które w poczciwej wierze widziało urojone mgły i brało je za rzeczywistość. Poczciwy był ten stary choć dziecinny światek, który wierzył w duchy i upiory, a przedewszystkiem czuł nad sobą rękę opatrzną Tego, który to wszystko „stworzył i z niczego wyprowadził.“

Dzisiaj są tylko nieubłagane prawa natury, która tworzy i zabija, ale po co i na co, nikt nie wie.

I widocznie ozwał się atawizm po dziadku w duszy Oriona. Podobał mu się ten świat stary ze swemi dziecinnemi bajkami, jakie dzisiaj zimny krytycyzm wypędził ze starych świątyń.

Orion zaczął teraz pilnie czytywać książki ze starej szafy. Czytał stare dzieje serc ludzkich, romanse z czasów rycerskich, w których bohater wychodzi w świat, aby bronić niewinnie cierpiących. W obronie tych szlachetnych wierzeń swoich stacza walki nawet śmiertelne, a jeżeli ginie, to na jego miejscu staje drugi z mieczem obosiecznym przeciw złym duchom ludzkości. A nad zastępem takich rycerzy unosi się zawsze w górze Bóg, „który nagradza i karze.“

Książki takie czytywał teraz Orion, ale czytywał je ukradkiem, jak ongi czytywał młody chłopiec dla swego wieku niestosowne. Krył się z tem, obawiając się dzisiejszego otoczenia swego. Wyśmianoby go, a domowy lekarz zapisałby mu nowe krople na to upodobanie, okazujące widocznie ubytek sił żywotnych.

Chryzantema spostrzegła to. Orion stronił teraz od ludzi i szukał samotności. Chryzantema widziała w tem inne powody. Mniemała że rosnącą coraz więcej obojętność Oriona powodują jakie nowe jego podejrzenia i halucynacye. Aby go od nich oderwać, zapraszała często wesołe towarzystwo, w którem rej wodził znany w stolicy redaktor humorystycznego „Saturna.“

Saturn coś się dowiedział o nowej lekturze swego amfitryona. Zaczął mu często przycinać, co Oriona podrażniało. Domowa lekarka uważała nawet to podrażnienie za zbawienne wobec dyagnozy ubytku sił organicznych.

— Winszuję panu nowego zawodu — rzekł pewnego wieczora Saturn, zarumieniony kilkoma kieliszkami madery — winszuję bardzo.

— Jakiego zawodu? — zapytał Orion.

— Po magazynach żałobnych i nieżałobnych, po teatrze chcesz pan pisać historyę literatury minionych wieków.

— Literatura owych wieków jest ciekawsza od waszego dzisiejszego dziennikarstwa!

— Oho... wnoszę toast na cześć pana Oriona, kandydata na członka starej akademii.

— Kpisz pan, jak zawsze, ze wszystkiego!

— Z wszystkich i z siebie, dodaj pan, bo to stawia nas pod równem prawem.

— Kpić z samego siebie, to nie wielka zabawa. Czy pan to przyznaje?

— Musi w tem być pewna rozkosz, jeżeli dzisiejszy aktor najczęściej samego siebie ironizuje.

— To smak tylko, jak smak w ostrygach, które są przecież nieznośne!

Nastąpiło powszechne oburzenie przeciw zniewadze wyrządzonej ostrygom.

— Cóż pan w tych starych szpargałach widzisz dobrego? — zapytał humorysta.

— Ludzie wierzyli w coś, co bodaj czy nie było lepsze od robienia dzisiejszych interesów. Ja przyznam się: na moich interesach nie najlepiej wychodzę.

— To właśnie życie, konkurencya, jedni spychają drugich.

— A któż dzisiaj przy interesach myśli o Bogu?

Na ten temat rozmawiano jeszcze dłużej wesoło, ale Orion posmutniał i zamilkł.

Innym razem, gdy mówiono o pewnym procesie karnym, wtrącił Orion, że dzisiejsze wyroki na zbrodniarzy są zbyt łagodne, i że lepiej było, gdy dawniej wybijano „ząb za ząb“ i wyłupywano „oko za oko.“

Śmiech powszechny zagłuszył starego zakonodawcę, a ktoś nawet zaproponował go na członka kongresu archeologicznego!

Po uciszeniu się gości powstał sławny psychiatra, który ten swój tytuł za anachronizm uważał.

— Już dosyć mordów — zawołał z powagą — popełniła sprawiedliwość dawnych sądów. Dziś jesteśmy na lepszej drodze. Dziś już wiemy, że tak zwani przestępcy są tylko chorzy na pewne zboczenia organiczne i nieprawidłowe funkcye nerwów.

— Jakto — odparł Orion — jeżeli ów mąż, który chciał ukarać niewierną żonę...

— Przecież hypnoza wyjaśniła dostatecznie, że pod wpływem silniejszej woli może osobnik popełnić nawet największą zbrodnię, o czem nie wie i o czem nigdy nie myślał! Przecież suggestyą można kogoś nakłonić nawet do samobójstwa!

— Toby jeszcze najlepszem było — dorzucił zgryźliwie Orion — gdyby łotrom, zamiast ich gilotynować, kazano samym się zabijać!

— Co więcej, dowiedziono przecież, że człowiek mieści w sobie kilka jaźni, z których jedna przewodniczy, gdy inne są uśpione. Gdy zaś nieprawidłowo działające nerwy odmówią tej dominującej jaźni pomocy, a ku innej się zwrócą, wtedy zmienia się nagle człowiek i idzie za popędem tej drugiej swojej duszy. Były wypadki, że najzacniejszy obywatel i wzorowy ojciec rodziny nagle zniknął z domu, a przeniósłszy się do odległej miejscowości, zaczął tam popełniać rozmaite zdrożności, jakiemi się pierwej brzydził. A gdy go tam schwytano i pod sąd oddano, ocknął się nagle, jakby ze snu, nie wiedząc, jakim sposobem tam się

dostał. O popełnionych zdrożnościach nie miał żadnej świadomości.

Orion roześmiał się.

— Więc złodzieje, oszuści, przeniewiercy, niewierne żony...

— Powiedziałem już — mówił dalej hypnotyzer — że silniejsza wola osobnika może drugiego doprowadzić do wykroczeń i zdrożności, mimo jego woli i wiedzy. Najnowsze badania wykryły, że w atmosferze naszej panują pewne prądy niewidzialne i nieuchwytne, którym nietylko zwierzęta ale i ludzie podlegają. Ptak, odlatujący przed zimą, wie, dokąd lecieć; płaz, wydobyty z wody, pełza w kierunku rzeki lub stawu, których wcale nie widzi, a człowiek zdąża do zakreślonej mu mety, chociaż o tem nie wie. Te prądy, popędy i instynkty, odczuwają najwięcej kobiety, w których uczucie przeważa nad rozsądkiem. Rozsądek bowiem i sumienie to wyrób czasu, na który składa się tradycya, czyli tak zwane wychowanie. Ponieważ mężczyzna dłużej się w tym kierunku kształci, więc wrodzona wola jego

przytępia się, gdy u kobiety rozwija się bujniej. Dlatego odczuwa kobieta silniej te prądy i instynkty, które mimo jej wiedzy i woli popychają ją w pewnych kierunkach. Jeżeli niektóre z tych kierunków obecne społeczeństwo uznaje za zdrożne, kobieta nie jest winną i nie można jej karać.

— A dokądże te prądy i te instynkty prowadzą?

— To już tajemnica natury niezbadana, której zabawą jest tworzyć i zabijać.

— Nieszczególna to zabawa! A cóż się stanie z ziemią i z nami w końcu?

— To samo, co z każdym tworem natury. Nauka przecież uczy nas, że ziemia, planety i inne ciała niebieskie biegną nietylko kręgami lub elipsą, ale tworzą linię spiralną... a więc lecą gdzieś w bezdenność, w zagładę!

— Może, nim to nastąpi — zawołał Saturn — wypróżnimy tych kilka butelek, na cześć znakomitego hypnotyzera, który nam tak nieświetny przepowiada koniec!

— A ja wam powiadam — zagadnął hi-

storyk — że wszystkie te przewroty w naturze są tylko rotacyą płodozmianu w jej gospodarstwie! Każda produkcya potrzebuje pewnej siły i fermentu. Rozmaite idee przebiegają przeszłość ludzkości jako ferment i giną, ustępując miejsca innym. Była idylla z trzodami owiec i baranów, była pochopność do zaborów, „siła przed prawem,“ jak za czasów rzymskiego państwa, były wojny o religię, a w ostatnich czasach walka o ideały tak społeczne jak i osobiste. Sztuka i poezya podtrzymywały te ideały, ale dzisiaj przeniesiono idealizm do prosektoryum, gdzie pod skalpelem zimnego krytycyzmu wyzionął ducha.

— A dekadenci?

— To agonia idealizmu — ostatnie jego podrygi! Rozkład materyi już nastąpił.

— A spirytyzm?

— To ów zakryty posąg greckiego bóstwa, który się nie odsłania!

Saturn zaproponował tę niesmaczną rozmowę zakropić maderą i zasiąść do przygotowanej wieczerzy.

XVI.

W takiej atmosferze nie mógł Orion przyjść do równowagi zmysłów. Czuł w sobie brak owego „fermentu“, o którym tak pięknie mówił gość uczony.

Wychował się w szkole pod dewizą: walka o byt, interes, dobrze zrozumiany egoizm. Wystąpił do „walki o byt“ i tu mu się zrazu szczęściło. Zapragnął szczęścia małżeńskiego, ale „interes“ ten nie najlepiej mu się udał, zapewne dlatego, że małżeństwo wziął za „interes.“ Z bankructwa tego „interesu“ chciał drugi interes wyciągnąć, ale ten obok niezłych procentów przyniósł mu tyle kłopotów i umartwień, że te pochłonęły cały ferment jego życia. Czuł się zupełnym bankrutem. Atawizm, który po dziadku w nim się odzywał, pogar-

szał jeszcze jego obecne położenie. Na jawie i we śnie zalatywały do jego duszy jakieś tony, niby zbłąkane echa przeszłości, a nie znalazłszy tam rezonansu, ginęły w głuchem próchnie.

To, co go teraz otaczało, było mu nieprzyjazne. Do „walki o byt“ nie stawało mu sił, „interesy“ zawiodły go, a winnych swego nieszczęścia nie mógł ścigać, bo powiedziano mu, że to niewinni. A ta niewinność przedłużała się w wyobraźni jego w nieskończoność, przyczem czuł usuwającą się pod nogami podstawę dalszego życia na ziemi.

W tej walce beznadziejnej traciły nerwy elastyczność i przechodziły zwolna, jak się lekarz jego wyrażał, w stan stłuszczenia. Opuściła go chęć do życia, w którem się już ferment wyczerpał. Opanowała go myśl, aby temu życiu koniec położyć. Była to myśl samobójstwa.

Spostrzegła to Chryzantema. Przywołała domowego lekarza, ale Orion nie wierzył już w lekarstwa.

— Jestem jak maszyna niegdyś nakręcona — mówił do Chryzantemy — i czuję, że sprężyna dochodzi końca. Nerwy moje to struny zgrane do szczętu, z których już tonu nie wydobędzie. Cóż po takim człowieku na świecie! To już konanie, a czy zgon godzinę wcześniej lub później nastąpi, niema w tem żadnego interesu!... Tak moja zacna towarzyszko, mam zamiar opuścić cię!

— Co mówisz — przerwała z trwogą Chryzantema — i ty byłbyś zdolny?

— Do tego byłbym jeszcze zdolny!... Patrz, to filigranowe cacko, które jako upominek dałaś mi w dzień moich imienin, mieści w sobie specyfik na wszystkie dolegliwości.

Wyjął z szufladki misternie rzeźbiony rewolwer.

— Na poruszenie tego cyngla — mówił dalej z uśmiechem — potrzeba tylko tyle siły, ile spotrzebuje chrząszcz do rozwinięcia skrzydeł swoich.

Chryzantema położyła rękę na misternej broni, oczy jej spojrzały z wyrzutem.

— Nie pozwalam ci plamić mego upominku taką myślą...

— Jest ona nieodzowną.

— Nie mogę temu uwierzyć, abyś zapomniał o tych chwilach szczęścia naszego, jakie towarzyszyły w owym dniu temu upominkowi...

— Pamiętam dobrze, ale byłem wtedy młodszy i wierzyłem w to szczęście... dzisiaj postarzałem się i nie wierzę — nie wiem tylko, czy to ostatnie jest skutkiem czy przyczyną pierwszego!

— Chory jesteś.

— Choroba moja jest nieuleczalną. Gdy w lampie zabraknie oleju, musi zgasnąć... Czyż nie lepiej zdmuchnąć ją wtedy, gdy swędu nie sprawia?

— Nie wiesz, jaki ból sprawiają mi słowa twoje!

Chryzantema przyłożyła chustkę do oczu i zaczęła płakać, Orion poczuł także łzy w oczach. Wspomnienie lepszych dni, jakby senne przyćmione widziadło, stanęło mu przed oczyma. Otoczył ramieniem wonne koronki pięknego

biustu i przycisnął do swego serca. Chryzantema oplotła rękami jego ramiona.

— Mój przyjacielu, to być nie może, abyś mię opuszczał. Tyle wspomnień, tyle dni jasnych i szczęśliwych wplotło się w nasze wspólne życie, że tem życiem podzielić się nie możemy! Ty nie możesz odłączyć się a mnie samą zostawić. Bez ciebie zmarniałabym, jak marnieje jemioła, gdy dąb runie!

— Myślałem o tem, ale temu zaradzić nie mogę. Moje życie wysącza się, jak klepsydra, i czuję, że ostatnie krople już padają.

Chryzantema przycisnęła go do swych piersi.

— Ty żyć musisz, żyć dla mnie! Podzielę się z tobą mojem życiem, część sił moich przeleję do twego serca.

— Niepodobna... czy słyszysz? Ostatnia godzina już bić zaczyna.

— Więc ty nie kochałeś mnie?

— Kochałem cię, chociaż nie zawsze zgadzały się nasze interesy.

— Starałam się o to.

— Mówią, że nie jesteśmy odpowiedzialni

za pewne prądy tajemnicze, które nas popychają na drogi niewłaściwe.

— Dlatego nie brałam na seryo twoich obaw i halucynacyi.

— Dzisiaj już się wszystko kończy.

— Nie wymawiaj tego strasznego słowa!

— A jednak ma ono dla mnie tyle ponęty, tyle słodyczy... spokoju wiecznego!

— Więc chcesz mię samą zostawić na szerokim świecie bez pomocy, bez żadnej podpory?

Zaczęła rzewnie płakać. Słowa przerywane plątały się bezładnie. Orion nie mógł ich zrozumieć, ale mimo to rozczuliły go do łez. Przycisnął ją do piersi; podniósł pochyloną jej głowę i patrzył długo w te ciemne a bezdenne oczy, z których teraz łzy płynęły.

— Nie mąć mi, moja droga, ostatnich fal mego życia, niech one jasne i czyste spłyną do oceanu wieczności.

— Jeżeli to ma być ostatnia prośba twoja, to patrz — zadaję gwałt sercu memu, które pęka z bólu.

Przyłożyła chustkę do oczu, a gdy za chwilę

na niego spojrzała, miała oczy bez łez, jasne i spokojne.

— Czy umiesz to ocenić, mój drogi?

— Umiem i wdzięczny ci za to jestem.

Chryzantema zbliżyła się do okna i w zamyśleniu patrzyła przez szybę na ulicę, na której roiło się od ludzi. Orion patrzył w głąb pokoju. Na bladej twarzy jego drgał uśmiech melancholijny.

— Interesy moje — rzekł po chwili — dosyć uporządkowałem. W obu magazynach miałem w ostatnim roku straty, mimo to zostaną jeszcze znaczne aktywa. Możesz je sprzedać, lub dalej interes prowadzić. Zresztą zrobiłaś świetną karyerę, a ta powinna zabezpieczyć twoją przyszłość.

Chryzantema zbliżyła się do męża i na ramieniu jego oparła głowę.

— Jeżeli już o tem sam mówisz, to schodzisz się z memi myślami, które przed chwilą mię nagabywały. Zostanę sama jedna na świecie, magazyny mogą nie dopisać, karyera moja może się urwać... Cóż wtedy?

Orion posmutniał.

— Wtedy... wtedy... ja sam nie wiem, co się stać może. Nie znam żadnego środka na to.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

— Właśnie przychodzi mi na myśl — szepnęła z cicha Chryzantema do ucha Oriona — że na to... na to... byłby sposób.

— Jaki sposób? — szybko podjął Orion.

— Lękam się wymówić.

— Na lęki niema już czasu.

Chryzantema dłuższy czas milczała.

— Przypominasz sobie — mówiła zwolna — jak nieraz mówiłeś, że każde zdarzenie, a nawet i nieszczęście trzeba wyzyskać. Czy pamiętasz, jak chwilowe nasze nieporozumienie wyzyskałeś, otwierając przede mną karyerę sceniczną? Wiem o tem, wiem.

Orion uśmiechnął się.

— A cóż ci teraz do głowy przyszło? — zapytał.

— Jeżeli nieodwołalnie chcesz mnie opuścić, jeżeli już dalej żyć nie chcesz i nie możesz

i życiu temu sam chcesz koniec położyć, mimo łez moich i mojej rozpaczy... to...

— To... dokończ!

— Nieszczęście to, które uważasz za nieodwołalne, można spożytkować.

— W jaki sposób?

— Ubezpieczysz swoje życie „od wypadku“ w towarzystwie „Nadzieja.“

Orion spojrzał zdziwiony na żonę. Twarz jego ożywiła się na ten pomysł. Mógł to być ostatni jego dobry interes!...

— Wiesz, moje serce, to niezła myśl. Towarzystwo „Nadzieja“ oszukało mię. Asekurowanych od ognia towarów moich nie chciało mi wynagrodzić według mojego szacunku. Straciłem najmniej pięćdziesiąt procent.

— Można się teraz odszkodować.

— I to dobrze. Jeżeli karać szachrajów, to karać porządnie. Ubezpieczę się co najmniej na sto tysięcy.

— O, mój drogi, teraz widzę, jak mnie kochasz.

Uścisnęli się oboje. Orion uczuł żywsze

uderzenie serca. Zbudził się w nim przemysłowiec i dogorywającą lampę zasilił nowym olejem. Asekuracya życia, które i tak nie miało dla niego wartości, wydała mu się bardzo dobrym pomysłem. Nietylko żonie zostawi znaczny majątek, ale nawet zemści się na znienawidzonem towarzystwie „Nadziei.“ Oszukała go „Nadzieja.“ A ugruntowana zemsta jest tak słodka. Osłodzi ona ostatnie chwile jego i z tą słodyczą na ustach wejdzie do nieznanej krainy!...

Tą myślą odżył i była ona dla niego tem, czem dla nieboszczyka jest prąd galwanizmu.

Uściskali się oboje, a Orion wziął się natychmiast do wypracowania planu asekuracyi.

XVII.

Po wspólnej naradzie stanęło na tem, że Chryzantema miała artystyczną wycieczkę przedsięwziąć do Australii, a Orion miał jej towarzyszyć. Aby oszukać argusowe oko „Nadziei,“ mieli się oboje zaasekurować „od wypadku“ po sto tysięcy i to na przeżycie. Jeżeli jedno z nich ulegnie wypadkowi, drugie dziedziczy asekurowaną sumę.

Nie tracąc czasu, wybrali się wkrótce w zamierzoną podróż. Kolej nie dawała sposobności do wykonania planu. Orion postanowił pożegnać swoją towarzyszkę wśród morskich bałwanów.

Podróż do morza odbyła się dosyć spokojnie. Chryzantema czytała najczęściej książkę, a Orion patrzył przed siebie wygasłemi oczy-

ma, jak skazaniec, który jedzie na plac stracenia. Czasem tylko, gdy pomyślał o „szachrajach“ towarzystwa „Nadzieja,“ gdy sobie uprzytomnił ich wściekłość i zgrzytanie zębów na pierwszą wieść o nagłej śmierci członka asekuracyi, niegdyś przez nich tak haniebnie poszkodowanego, wtedy uśmiech zadowolenia przebiegał po jego twarzy ołowianej.

Wreszcie obaczył morze.

Widok morza zachwycił Chryzantemę. Było ono dosyć spokojne, błękitne, jak sklepienie nieba. Tylko tam z dali tajemniczej, z po za kresów nieba wychodziła fala za falą i jak wąż ruchomy pełzała ku brzegom. Na brzegu rozpylała się w miliony pereł i dyamentów, jakby witała niemi ziemię, upragnioną kochankę. Tylko rozsiane w dali białe żagle poruszały się zwolna ku przystani, albo słupy dymu skręcały się misternie w przezroczy powietrznej.

Wrażliwa dusza kobiety zaludniła w okamgnieniu tę modrą przestrzeń bez granic i końca. Wspomnienia i sny, marzenia o przyszłości, w lekkich, papierowych łódkach, odbiły od

brzegu i pomknęły w dal niedojrzaną, tajemniczą...

Orion patrzył na morze innem okiem. To grób jego, grób, który go pochłonie w głębiach swoich niezbadanych. Co tam znajdzie? Czy tylko otchłań bez dna, ową szarą przestrzeń nieskończonej nicości, w której unoszą się atomy, jeszcze w twory żyjące nie wcielone lub od zmarłych uciekające?

To grób jego, który widzi przed sobą, ale nie wygląda on tak strasznie, jak grób, wykopany w ziemi cmentarnej. Taki grób nie mieści w sobie żadnych mar tajemniczych, a te ruchome fale przykrywają tak zawistnie, co tam w głębi być może.

Orion zamarzył o tych głębiach i przypomniał sobie owe zaczarowane pałace, w których mieszkają nimfy i ondyny. Czyż wyobraźnia ludzka odczuła tych mieszkańców morskich, którzy powabem i wdziękiem ciągną do swych podwodnych pałaców nieopatrznych żeglarzy?...

I w mózgu dogorywającym rozświetliły się po raz ostatni cudowne obrazy, pełne czaru

i omamień, a przed oczyma zaroiło się od kwiatów i motyli, jak to zwykle w pierwszych dniach wiosny bywa!

Ostatnie to sny i rojenia, ostatnie błyski gasnącej lampy... a po nich cóż nastąpi?... noc, noc wieczna... Szkoda tych urojeń, tych ondyn i nimf wodnych!...

I oboje siedli do łodzi, która ich przewieźć miała na stojący w dali okręt.

— Wiesz, moja droga — ozwał się Orion — doznaję złudzenia, że już rozpoczął się mój kondukt żałobny, zdaje mi się, że już jestem w trumnie, że mię niosą tam, gdzie grób mój na mnie czeka... Słyszę pienia żałobne i czuję woń smolnych pochodni!... Czy liczny orszak idzie za moją trumną... a czy i ty, moja droga... dlaczego nie masz szat żałobnych? Czemu nie wzięłaś z mego magazynu?...

— Dlaczego tak mówisz? Przecież dość jeszcze czasu masz przed sobą. Podróż nasza morzem potrwa długo...

— Wolałbym, aby była krótką.

— Nie mów tak, proszę cię... chcę się łu-

dzić, że ta chwila jeszcze daleko! Nie smuć mnie, dosyć będę miała smutku, gdy cię już nie ujrzę przy sobie. Mam jeszcze nadzieję, że morze pokrzepi twoje nerwy i że zechcesz pomyśleć o niejednym jeszcze interesie!

— Nie, nie chcę. Ten interes z „Nadzieją“ będzie ostatni! Ha, ha, ha! Wściekać się będą ci szachraje z „Nadziei,“ że ich tak w pole wyprowadzę! Zasłużyli na to, pięćdziesiąt procent strącili od moich cen szacunkowych. Zemsta zacna i sprawiedliwa, nikt mi nic zarzucić nie może. Ha, ha, ha, wyobrażam sobie, jak będą skakać ze złości! Chciałbym tę chwilę przyśpieszyć, bo to ostatnia rozkosz moja!

— Mówisz tylko o sobie, a o mnie nic! Zostanę sama jedna, jak palma wśród puszczy!

— Zostaną z tobą owe tysiące, które wypłaci ci „Nadzieja.“

— Wolałabym, żebyś i ty został.

— Jedno z dwojga trzeba wybierać!

Łódź przybiła teraz do spuszczonych schodów okrętu. Fale morskie podmywały te schody. Na trzecim schodzie spojrzał Orion na

Chryzantemę, która za nim postępowała. Srebrna fala morza podniosła się ku niemu, jakby go w swoje objęcia pochwycić chciała... Pomyślał chwilkę... mógłby się na tym schodzie poślizgnąć i mógł zajść „wypadek,“ o którym w asekuracyi była mowa.

W tej chwili uczuł ciężką rękę na ramieniu. Majtek, jakby przeniknął myśli jego, pochwycił go za barki i wyciągnął na pokład okrętu. Na okręcie było już wielu ludzi i trzeba było iść za przewodnikiem do wyznaczonej kajuty. W kajucie zaczęła Chryzantema rozkładać rzeczy podróżne, przyczem w głowie Oriona przygasła myśl, która go przed chwilą zajmowała. „Nadzieja“ musiała jeszcze czekać.

Okręt odbił od brzegu. Chryzantema wyprowadziła Oriona na pokład. Usiedli w cieniu markizy rozpostartej nad pokładem. Chryzantema patrzyła na dalekie fale morza, jakby w nich swoją przyszłość wyczytać chciała, a Orion ścigał przygasłem okiem uciekający od niego brzeg ziemi, do której już nie wróci.

Zdawało się, że podróż na morzu zajmowała

ich o tyle, że o projektowanym „wypadku“ między sobą nie mówili. Odłożono go do sposobniejszej chwili. Mieli jeszcze dość czasu przed sobą.

Po kilku dniach ujrzał majtek na skłonie nieba małą smugę. Na pokładzie rozpoczął się ruch niezwykły. Kapitan wydawał rozkazy, a majtkowie wykonywali je z pewną powagą, jakby coś niezwykłego nadejść miało.

Orion i Chryzantema nie zważali zrazu na ten ruch służby okrętowej. Podróżni cisnęli się do głównego masztu, na którym zawieszony był barometr.

— Spada, spada — wołano coraz głośniej — spadł na deszcz!

— Spada na wiatr, na burzę!

Ozwały się sygnały, majtkowie jak pająki zaczęli się piąć po linach masztowych.

Dała się słyszeć pierwsza salwa. Głuchy, przeciągły szum wiatru przesunął się po żaglach. Nieznaczna szara smuga od krawędzi horyzontu zaczęła szybko wysuwać się na niebo.

Przygasały promienie słońca, a powietrze napełniło się mgłą rozpyloną.

Odezwały się znowu sygnały — żagle zaczęły się zwijać i na dół spuszczać.

Na pokładzie było coraz mniej ludzi, wszyscy uciekali do wnętrza okrętu.

— Burza, burza nadciąga! — wołano zewsząd.

Orion i Chryzantema zrozumieli teraz, co im zagraża.

— Będzie burza! — zawołała Chryzantema, wodząc przestraszonem okiem po niebie.

— Tego jeszcze brakowało — krzyknął Orion — widać, że nie mam szczęścia do interesu. Możemy oboje zginąć w rozszalałych bałwanach morza. Patrz, jak tam w dali bałwan się podnosi!

— Przebóg, co mówisz! — odrzekła Chryzantema łamiąc ręce — i jabym zginąć miała?

— Mniejsza o to, ale „Nadzieja“ będzie tryumfować... I gdzież tu jest sprawiedliwość?... Mówią, że sprawiedliwość rządzi światem!... Bajki, bańki mydlane!... Takie wysokie dwie

premie zapłaciłem! Wszystko zgarnie „Nadzieja“ do swojej kasy! Można oszaleć ze złości.

— Przecież może nie zginiemy! — wołała w rozpaczy Chryzantema.

— Musimy zginąć, nie mam szczęścia do interesu! Pomyślałem to sobie, gdym układał plan asekuracyi. „Nadzieja“ śmiać się będzie, jak się śmieją spadkobiercy na stypie bogatego nieboszczyka.

Szum fal zaczął się wzmagać. Przeplatały go dalekie grzmoty, jakby strzały dział oblężniczych, a pierwsza kolumna bałwanów morza przebiegła przez pokład okrętu.

— Opróżnić pokład! — ozwała się komenda.

Zmoczony majtek przystąpił do Oriona i wciągnął go na schody do wnętrza okrętu. Za nim weszła Chryzantema.

W salonie było wielu podróżnych. Strach malował się na wszystkich twarzach. Zamkniętym w ciasnej przestrzeni zdawało się niebezpieczeństwo jeszcze większe. Okręt kołysał się, a żebra jego drżały z przestrachu, w kryształowe szyby uderzały wściekłe bałwany, jakby

je chciały wygnieść i wtargnąć przez nie do wnętrza okrętu. Grom po gromie uderzał, a z pokładu zalatywały sygnały tem straszniejsze, że niezrozumiałe.

— Czyż to być może — jęczała Chryzantema — abyśmy oboje zginęli?

— Bardzo naturalnie... „Nadzieja“ nikomu nie wypłaci zamówionej sumy! Trzeba mojego szczęścia na to! O przekazie na dalszych krewnych nikt z nas nie pomyślał! Przeklęta „Nadzieja“ ma szczęście! Ja tylko nie miałem go nigdy!

— Jak możesz to mówić w takiej chwili?

— Właśnie widzę teraz jaśniej, a to jest znak, że się koniec zbliża.

Przeraźliwy łoskot rozległ się po ścianach okrętu. Zdawało się, że się jego żebra łamią.

Chryzantema zbladła, Orion zaśmiał się.

— Ty słyszysz... to śmierć puka! Czy jesteś gotowa?

Na pokładzie rozległa się komenda:

— Do pompy, wszyscy do pompy!

Wielu mężczyzn opuściło salon, pozostali

chorzy i kobiety. Krzyk i płacz rozległ się, a wściekłe bałwany tłukły o szyby i z szyderstwem zaglądały do wnętrza.

Chryzantema była blada, jak biały marmur. Oczy patrzyły bez blasku i bez ruchu.

— Zginąć, zginąć — szeptały kurczowo jej usta zblakłe — to okropne!

— A „Nadzieja“ jeszcze nas wyśmieje! — wołał niepocieszony Orion.

— Dlaczego nie idziesz do pompy?

— Im prędzej, tem lepiej zakończyć to głupie życie...

— Że głupie, to prawda, ale jabym przecież tak żyć chciała!

— I jabym chciał, aby choć jedno z nas przy życiu zostało... aby ta przeklęta „Nadzieja“...

— Przecież ty nie chcesz żyć...

— Gdyby jednak tak wypadło, to cieszyłbym się z tego... bo wtedy „Nadzieja“ musiałaby zapłacić!

— Przecież inna była między nami umowa...

— Tak, ale jeżeli fatum umowę zmienia...

— Ale ja na to nie przystanę.

— To się rozmów z tymi bałwanami, które przez okno zaglądają do ciebie i otwierają paszcze, jak rekiny, aby cię połknąć żywcem.

— Nie poznaję ciebie i nie rozumiem... przecież nie grałeś na moje życie?

Orion rozśmiał się.

— Kto wie, czy nie grałem? — odpowiedział złośliwie. — Wszak to świetny interes zarobić odrazu sto tysięcy...

— Przecież to była pierwsza myśl moja!

— Prawda, i czyni ci zaszczyt niemały, za który „Nadzieja“ ze mnie śmiać się będzie!

— Przecież to nie moja wina, jeżeli...

— Jesteś niewinną, jak zawsze nią byłaś! Jak nikt nie odpowiada za dzikie instynkty i popędy, tak samo i szlachetne natchnienia nie wchodzą do naszego rachunku. Jesteśmy piłką w ręku niewidomego.

W tej chwili okręt uderzył gwałtownie o jakąś skałę podwodną. Zatrzeszczały belki i żebra. Orion rozśmiał się dziko, a Chryzantema zamknęła oczy, jakby śmierć ujrzała.

Śmierć nie przyszła jednak jeszcze. Dręczyła tylko obawą i strachem. Przebiegała, jak iskra elektryczna po nerwach, piekła, ale nie zabijała. Pastwiła się nad swoją ofiarą, ale nie chciała jej życia pozbawiać.

Mijały długie godziny i dnie mijały. Okręt był igraszką bałwanów i wichru, ale nie tonął. Czwartego dnia około północy ucichła burza. Okręt przestał się kołysać, ludzie odetchnęli. Patrzyli jeszcze z przerażeniem w około siebie, podobni do skazańców, którym po przeczytaniu wyroku śmierci darowano życie.

Chryzantema wracała powoli z odrętwienia do życia. Orion patrzył obojętnie przed siebie, jakby go ta łaska nieba nic nie obchodziła. Ostatnie podrażnienie ustało, ogarnęła go grobowa apatya.

Podniósł się leniwo z miękkiej sofy.

— Wyjdę na pokład — rzekł głosem bez dźwięku — pragnę chłodniejszego powietrza.

Chryzantema drgnęła, jakaś myśl przykra przebiegła jej przez głowę. Brakło jej sił, aby

powstać. Zimną dłonią ścisnęła rękę swojego towarzysza.

— Zostanę tutaj... nie mam sił, aby pójść z tobą. Wracaj prędko.

Orion wyszedł na pokład. Panował tu ruch niezwykły. Co chwila odzywały się sygnały, majtkowie biegali, wspinali się po linach i masztach. Wiązano podarte żagle i połamane reje. Zatykano dziury w pomoście, naprawiano zgruchotane poręcze.

Noc była ciemna, bez księżyca, tylko gdzieniegdzie przebłyskiwały gwiazdy.

Orion przesunął się, jak cień nieboszczyka, pomiędzy robotnikami. Podążył na tył okrętu, gdzie najmniej było ludzi. Złamany ster wychylał się z wody, jak paszcza rekina.

Orion oparł się o poręcz i wzrok utopił w ciemną bez kresu przestrzeń. Na krawędzi nieba rozsunęły się właśnie podarte chmury i odsłoniły grupę gwiazd bladych.

To konstelacya Oriona.

Orion znał ją, wszak ona, to niby ojczyzna jego!...

Ogarnęło go dziwne uczucie, przypomniał sobie dziadka, który o tych gwiazdach tyle rzeczy napisał.

— Przecież to miłe były te czasy dziecięce — pomyślał sobie — w których każdy człowiek miał swoją gwiazdę opiekuńczą, zaświecała się ona przy jego narodzeniu, a gasła przy śmierci!... Gdybym to ja mógł teraz na taką gwiazdę patrzyć. Gdybym mógł widzieć, jak jej światło wraz z mojem życiem zagasa!...

Spóźniony bałwan morski podniósł się teraz ku niemu... złamany ster zatrzeszczał.

— Gwiazdy na niebie nie mam — myślał dalej — tylko ten posłaniec z głębi morskiej upomina mię, że już czas. „Nadzieja“ będzie pomszczona!

Pochylił głowę ku morzu i wzrok w jego falach zatopił. Wzrok przebijał wodę i zatapiał się coraz głębiej. W głębi nie widział już teraz ani nimf wodnych, ani ich pałaców kryształowych, tylko szarą przestrzeń bez dna i bez brzegów. Przestrzeń nicości!

A ta przestrzeń pociągała go coraz więcej

w głąb swoją... Pochylił się po za poręcz i czuł, że poręcz usuwa się pod nim...

Coraz ciemniej było mu przed oczyma, gwar okrętu coraz słabiej dochodził do jego uszu...

. . . . . .

Chryzantema siedziała w salonie nieruchoma z opartą na poduszkach głową. Blade jej usta drgały jakby od bólu. Od czasu do czasu wstrząsła się cała, jakby od przestrachu.

Po jej mózgu biegała myśl straszna. Przeczucie mówiło jej, że Oriona już nie ujrzy!... I powoli zaczął przed nią przesuwać się obraz dziwny. Widziała fale morza, widziała na tych falach postać topielca, który trzymał w ręku papier z liczbą: 100.000.

Na widok ten zbudziły się w niej lepsze wspomnienia życia. Do tych wspomnień wiązał się towarzysz jej, który może w tej chwili...

Chryzantema zerwała się... twarz jej zagrała szlachetniejszem uczuciem.

Szybko wybiegła po schodach na pokład.

Na pokładzie roiło się od majtków. Komendy, odpowiedzi krzyżowały się.

— Wysunąć reje, podnosić żagle! Baczność!

Chryzantema nie słyszała tych krzyków, jej oczy szukały Oriona.

Ujrzała go. Stał przy poręczy, pochylony ku morzu...

Chciała biedz ku niemu... ale w tej chwili uczuła, że ją coś za nogi chwyciło.

— Baczność! — ozwało się kilka głosów naraz.

Tymczasem olbrzymia reja głównego masztu posuwała się dalej po pokładzie i zwolna podnosiła się do góry...

Wiatr uderzył teraz w nastawione płótno, żagiel wydął się a reja nagle podskoczyła do góry...

Rozległ się krzyk przeraźliwy...

Postać kobieca zamajaczyła na chwilę w powietrzu i wpadła do morza.

— Tonie, tonie! — ozwały się głosy.

— Wyrzucić linę... spuścić łódź! — brzmiała komenda.

Orion ujrzał w powietrzu tę postać i poznał ją.

Przybiegł na miejsce wypadku.

— Ha ha ha! — zaśmiał się przerażającym śmiechem, a usta jego wykrzywiły się — nie bójcie się, ona wypłynie... przygotujcie tylko oklaski i kwiaty! Podnieście kurtynę, ona wyjdzie!

— Waryat! waryat! — wołano zewsząd.

— Ująć go! — ozwał się donośny głos kapitana.

Dwóch majtków pochwyciło waryata, który się nie opierał, tylko śmiał się okropnie.

— „Nadzieja“ przegrała! — wołał śród śmiechu — bijcie oklaski i sypcie kwiaty! To mój jedyny dobry interes, jaki zrobiłem w życiu...

Wyższa szkoła handlowa

Paryż w maju 1892-go r.

389 Hu 18 Xcu

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106381

Chłędowski Kaź. Królowa Bona, o
Chojecki Edm. Jan Dhasp, powieś
— Życie i sen, powieść . .
Clay B. M. Która zwycięży, powi
Ćwirko Z. Po szczęście. Kartka z
Esteja. Mój testament, powieść.
W sercu garbuska, powieś 1 50
Faleński F. Sama jedna. Opowiadanie . . . . . — 75
— Utwory powieściowe. Tom I. 1 50
Treść: Zdaleka i zbliska. — Na schyłku starego roku. — Strzępy dawnej okazałości. — Świetne widoki pani Marcinowej. — Bez służby.
Gawalewicz Maryan. Ćma, powieść, 2gie wyd. 1 20
— Drugie pokolenie, powieść, 2 tomy w jednym. Wydanie drugie 1 60
— Dusze w odlocie. (Z pamiętników młodego lekarza). Nowella. Z illustracyami E. Lindemana . . . . . — 80
— Mechesy, powieść, 2 części . . . . . po 2 —
— Mgła, powieść 1 20
— Od jutra, powieść z papierów familijnych spisana . 1 50
— Z mego albumu. Zbiór szkiców i obrazków 1 20
Treść: Zuzanna. — Mimi. — Świerk na pustkowiu. — Zgaszone gwiazdy.— Moja mamka — Literat.
— Żona. Galerya szkiców z natury. Nowe wydanie powiększone i ozdob. rysunkami Piotra Stachiewicza . 1 80
Treść: Kokoszka.— Astra.— Trusia.— Baba.— Komedyantka.— Muszka.— Walentowa.— Pani hrabina.— Bziczek.—Tamta.—Inseparables.—Muu...—Mrówka.— Otellina. — Ofiara.
Jeż T. T. Niezaradni, powieść . . . . . 2 —
Jordan. Gawędy w listach do pana Jana, autora „Wędrówek delegata". Serya nowa . . . . . 1 [illegible]
— **(Julian Wieniawski).** Pisma, 6 tomów . . . . . 6 —
Pojedyńcze tomy po 1 20
Treść: I. Wędrówki delegata.— II. Przygody panów Marka i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie.— III. Listy Jordana do pana Jana. — IV. Z boru i dworu. Szkice i obrazki. — V. Z boru i dworu. Szkice i obraski, serya II. — VI. Ze wspomnień Marymonckich. Komedye jednoaktowe: Partya winta. Wśród lasu. Polowanko.
Junosza Kl. (Szaniawski). Czarnebłoto. (Pająki wiejskie). Powieść współczesna 1
— Pająki, Obrazek z życia warszawskiego . . . . . 1 —
Konar Alfred. Bankruci, powieść 1 20
Konopnicka Marya. Moi znajomi. Nowelle 1 20
Treść: Martwa natura. — Urbanowa.— Morze. — Ksawery. — W starym młynie. — Moja cioteczka. — W winiarskim forcie.— Józik Srokacz.— Maryśka.— Lalki moich dzieci. — Banasiowa. — Anusia. — Z cmentarzy.